

# Atomowa ruletka

Andrzej Pilipiuk



calibre 0.9.27



# Atomowa ruletka

Na trzy miesiące przed planowanym wyjazdem do Lwowa wujek Ihor zabrał mnie na poligon. Pojechaliśmy daleko na wschód, manewry pod

kryptonimem „Grań” odbywały się niemal przy samej granicy z Rosją.

Wybrano ten teren nieprzypadkowo. Dwa tygodnie później korpusy ekspedycyjne wysłano do południowego Sudanu. Widać walka w stepie, gęsto pociętym parowami, miała przygotować żołnierzy do zmagania toczonych na afrykańskiej sawannie i w górach.

Staliśmy na platformie czterdziestometrowej stalowej wieży obserwacyjnej, patrząc, jak rozwija się symulowane natarcie. Kilkadziesiąt polskich czołgów parło naprzód. Co jakiś czas któryś oddawał strzał, niszcząc cel ćwiczebny.

Wokół nich przemykały ukraińskie samochody terenowe, szybkie i zwinne, wdzierały się bez trudu na strome stoki wzgórz, a zainstalowane na nich wyrzutnie pocisków raketowych czyniły co najmniej tyle spustoszenia, co ciężkie działa czołgów. Kilkunastu oficerów obserwowało to z kamiennymi twarzami, choć wyczuwałem, że nasze sukcesy niekoniecznie przypadły im do gustu.

Generał Michalski stał obok, wsparty ciężko na lasce.

- Stworzył pan bardzo interesujący rodzaj broni, generale Pawluk -

powiedział wreszcie. - Siła ognia zaledwie o połowę mniejsza, ale mobilność nieporównywalna. Jednak kuloodporne szyby i kevlarowa siatka na karoserii to trochę zbyt mało... Pancerza nie zastąpią.

- Oczywiście na polu bitwy łatwiej je wyeliminować. - Wujek bronił swoich racji. - Ale żeby wystawić tysiąc czołgów, trzeba kilkanaście tysięcy ton stali.

Ponadto niezbędne są do tego fabryki zbrojeniowe, infrastruktura, no i sporo czasu. A my nadwozia tłoczmy z kompozytów w dowolnej fabryce.

Wystarczy byle jaka prasa i robimy kilkanaście sztuk na godzinę. Są kuloodporne, choć strzału z rusznicy przeciwpancernej nie wytrzymają.

Nadwozie jest niepalne. Wszystko leciutkie i wytrzymałe. No i paliwo. Wasze czołgi klasy Kmicic i Huzar, mimo zastosowania najnowocześniejszych silników, opartych na teoriach kaloryczności bezwładnej, sformułowanych przez Rychnowskiego, palą czterdzieści litrów ropy na sto kilometrów, a nasze terenówki zaledwie osiem. W dodatku te wyrzutnie raket można instalować w razie potrzeby na dowolnych pojazdach cywilnych. Nawet jeśli ktoś wystawi przeciw nam dwadzieścia tysięcy czołgów, możemy od ręki odpowiedzieć, posyłając do walki pół miliona pojazdów bojowych, zmontowanych *ad hoc* na przykład ze zwykłych taksówek... No, a gdy już będziemy mieli tyle wyrzutni i zapasy amunicji. - Tu spostrzegł, że ciut się zagalopował.

- Taksówki nie są opancerzone ani ognioodporne - zauważył Polak.

- Dlatego opracowaliśmy też specjalne lekkie pancerze do nakładania na karoserię. Ze zwykłego ciężkiego karabinu maszynowego można je podziurawić. Pociski przeciwpancerne to oczywiście jeszcze poważniejszy problem, ale stawiamy na przewagę liczebną. Jak mówi przysłowie:

**„Chińczyków jest miliard, wszystkich nie zabijesz”.**

Michalski milczał. Czuję, że liczba, rzucona jakby od niechcienia, nie była przypadkowa. Polska miała przeszło czterdzieści tysięcy czołgów, z tym że połowę rozlokowano po świecie...

- Cieszę się, generale, że jesteśmy sojusznikami - powiedział wreszcie. - A

jednak stworzył pan, nieomal pod naszym bokiem, interesującą broń ofensywną.

- Sojusze nie wykluczają dbania o własne sprawy. - Wyczułem szóstym zmysłem, że między tymi dwoma toczy się jakaś gra.

- A dokąd to chcecie wysłać wasze taksówki w obronie ukraińskich interesów? - zaciekał się polski generał.

- Na przykład do Turcji. Albo na Krym. Mamy z nimi zatargi jeszcze z trzydziestego dziewiątego roku... A najpierw przetestujemy je w warunkach bojowych. Tam, dokąd umyślicie nas posłać...

Wujaszek uśmiechnął się, ale Michalski pozostał dziwnie ponury i zamyślony. Może szacował liczbę pojazdów i zastanawiał się, czy po pięćdziesięciu latach wymuszonych sojuszy nie staniemy wreszcie okoniem?

\*\*\*

Urzędników było dwóch: jeden po cywilnemu, ubrany w markowy polski garnitur, drugi wojskowy, z dystynkcjami kapitana. Za oknami wisiał duszny sierpniowy upał. Kijów drzemał; wszystko, co żyło, ukryło się, by przeczekać najgorętszą porę dnia. Po niebie płynęły małe, białe obłoczki. Krzesło było wygodne, ale i tak siedziałem jak na szpilkach. Wojskowy studiował w zadumie wszystkie dwadzieścia siedem załączników, które musiałem złożyć wraz z podaniem. Wreszcie odłożył ostatni papier. Zdjął okulary i popatrzył na mnie zmęczonym wzrokiem.

- Dlaczego chcesz się uczyć właśnie we Lwowie?

- Z tego miasta pochodziła moja rodzina - wyjaśniłem. - Ostatnią wolą

moich dziadków było...

Urzędnik, ten w cywilu, otarł czoło z potu.

- Ugoda Tarnopolska pozwala wam teoretycznie osiedlić się w dowolnie wybranym miejscu Rzeczypospolitej - powiedział - ale województwa lwowskie i stanisławowskie to dość specyficzny region. Staramy się utrzymywać tam równowagę etniczną, dlatego z niepokojem... - urwał w pół zdania i ziewnął.

- Mówisz dobrze po polsku - odezwał się oficer. - Jednak jesteś Ukraińcem.

- Mam jedną szesnastą krwi polskiej - pochwaliłem się. - Jednak nie zamierzam osiedlać się tam na stałe. Skończę liceum i wracam na studia do Kijowa.

- Wszyscy tak mówicie - mruknął.

- I w tym właśnie problem - westchnął gość w garniturze. - Czytałeś manifest Prokopiuka?

- Ten o pokojowym podboju waszych kresów wschodnich poprzez wzmożone osadnictwo Ukraińców na tych terenach?

Kiwnął głową.

- Owszem, znam jego treść. Był dość szeroko komentowany przez naszą prasę. Ale ja nie zamierzam osiadać na stałe we Lwowie. Zdobyłem stypendium polskiej fundacji i chcę z niego skorzystać - dodałem.

- Tak - potwierdził kapitan, znowu przeglądając papiery. - Ale sam rozumiesz, jeśli podłożysz tam bombę, to my będziemy odpowiadać za to, że wydaliśmy ci pozwolenie na pobyt.

- Czy ja wyglądam na terrorystę? - obruszyłem się.

- Żaden z was nie wygląda - mruknął cywil. - A potem ktoś nocami smaruje na murach napisy w rodzaju *Znaj Lasze, szczo po San nasze*. Albo bierze karabin snajperski i... W dodatku... hmmm... Twój wujaszek, generał Ihor Pawluk, mocno nam ostatnio podpadł.

- Walczy o szerszą autonomię, ale legalnymi metodami - powiedziałem ostrożnie. - Zresztą, prawie go nie znam - zełgałem.

Urzędnik wziął moje podanie i popatrzył mi w oczy. Wytrzymałem jego spojrzenie. Przystawił pieczętkę i podał swojemu towarzyszowi. Ten przybił swoją.

- Przez najbliższe trzy lata mamy prawo cię śledzić i kontrolować korespondencję - wyrecytował urzędową formułkę. - Zgoda na pobyt może być cofnięta w każdej chwili rutynową decyzją administracyjną. Jeśli coś zmalujesz, odpowiadasz według naszego kodeksu karnego. Po trzech latach nienaganego sprawowania możesz wystąpić o nadanie prawa stałego pobytu.

- Za trzy lata skończę naukę i wracam - zaoponowałem.

Westchnęli obaj ciężko jak na komendę.

\*\*\*

Samum nadciągnął nieoczekiwanie. Nad rozpalonymi od słonecznego żaru skałami wyżyny Negev zawisła ciemna chmura. Piasek sieknął o przednie szyby czajki. Półmrok gęstniał z minuty na minutę.

- Nie ma sensu ciągnąć do obozu - powiedział generał Michalski, usiłując przebić wzrokiem wirujące tumany pyłu. - Prędszej się zgubimy na pustyni.

Mamy tu w okolicy jakąś kryjówkę?

Głowy oficera i kierowcy pochyliły się nad mapą.

- Cztery kilometry stąd jest dobre miejsce - powiedział wreszcie adiutant.

- Jedźmy tam.

Uruchomił radiostację i nadał wiadomość dla pozostałych pojazdów.

Niewielki konwój przyspieszył i po kilkunastu minutach przedzierania się

niemal na oślep zatrzymał pod skalnym nawisem. Piętnastu ukraińskich komandosów wyskoczyło z transportera i sprawnie zbadało wszystkie kąty.

- Od miesiący nikogo tu nie było - zameldował ich dowódca.

Generał, wspierając się na lasce, wysiadł ze swojego wozu. Tu, w jaskini,

pyłu wirowało niewiele. W kącie pod ścianą leżał podarty śpiwór i kilka

puszek po Lwowskim Eksportowym. Wyżej na ścianie ktoś wymalował

gwiazdę Dawida. Saper właśnie badał legowisko.

- Wszystko w porządku - zameldował.

Michalski podszedł do ściany. Strasznie go korciło, żeby wziąć trochę farby

antykorozyjnej i domalować do gwiazdy szubienicę, ale nie wypadało. Co

innego wyłapywać żydowskich terrorystów z organizacji Masada, a co innego

otwarcie chwalić się antysemityzmem.

Westchnął i popatrzył w stronę wąwozu. Niepotrzebnie. Dwaj żołnierze

ustawiali właśnie wykrywacze podczerwieni. Nikt ich tu nie zaskoczy...

- Grupa pierwsza, warta do drugiej w nocy - rozkazał. - Grupa druga, zmiana i do szóstej rano.

Zasalutowali. Ktoś rozstawił składany fotel. Generał uśmiechnął się z

wdzięcznością. Usiadł i postawił laskę w zasięgu ręki. Żołnierze sprawnie

rozłożyli obozowisko. Michalski wyjął z teczki walizkowy komputer i,



uruchomiwszy wbudowany nadajnik, wszedł do Sieci. Ściągnął aktualne wiadomości z serwisu informacyjnego sztabu generalnego. Długą chwilę patrzył w ekran, nie wierząc własnym oczom.

- Jak to? - wyszeptał zdumiony. - To przecież niemożliwe!

Parlament Rzeczypospolitej na specjalnej sesji podjął niemal jednogłośnie decyzję o zakończeniu okupacji Rzeszy Niemieckiej. Generał przeleciał wzrokiem treść raportu. Polskie garnizony w ciągu dwu miesięcy wycofają się z zajmowanych terenów, niemiecka Rada Regencyjna otrzyma pełnię władzy do czasu wyborów, które wyłonią pierwszy od dziesięcioleci Reichstag. Odbędzie się też referendum w sprawie restauracji monarchii lub utrzymania republiki...

Adiutant wyrósł jak spod ziemi. W ręce trzymał przenośne radjoko - widać słuchał serwisu.

- Cesarza im się zachciewa... - mruknął sędziwy generał.

- Radio Berlin podało, że pierwsze wyniki ankiety wskazują na przewagę monarchistów.

- Tylko kogo posadzą na tronie? - zafrasował się.

- Melduję, że najpoważniejszym kandydatem jest wnuk cara Włodzimierza Kiryłowicza, Grigorij Hohenzollern. Jest rozkaz z Warszawy, kod zielony.

Odczytać?

- Za chwilę. - Skupił wzrok na ekranie.

Jak było do przewidzenia, Polska wycofała się jedynie z części terytorium.

Granica na Odrze i Nysie Łużyckiej pozostawała bez zmian. Okręgi

autonomiczne Chociebórz i Nowy Izrael uzyskały niepodległość. Wolne

Miasto Szczecin miało pozostać przez kolejne dziesięć lat pod zarządem Ligi Narodów. Liga miała też zadbać, by Niemcy pozostały krajem zdemilitaryzowanym, natomiast zakazy rozwoju przemysłu ciężkiego zostały cofnięte.

- Jakie rozkazy? - oderwał wzrok od komputera.

Oficer przyboczny podał mu pasek papieru i odmeldował się. Michalski przeleciał wzrokiem kilkanaście linijek tekstu. Potem wstał i, opierając się na lasce, ruszył w stronę żołnierzy.

Adiutant, widząc jego minę, zarządził zbiórkę. Po chwili stali przed nim w karnym szeregu.

- Zgodnie z rozkazem prezydenta Rzeczypospolitej zostałem z dniem dzisiejszym awansowany na stopień marszałka polowego - powiedział Michalski. - Z uwagi na mój wiek zaproponowano mi także przejście w stan spoczynku. Zważywszy, że tydzień temu skończyłem dziewięćdziesiąt siedem lat, chyba skorzystam z tej propozycji.

W ich oczach wyczytał nieśmiały protest.

- Mam obowiązek wyznaczyć następcę. Bezpośrednie dowództwo okręgu wojskowego Daleka Rubież obejmie mój zastępca, pułkownik Rudenko. A wam, huncwoty, daję dwa tygodnie urlopu. - Rozjaśnił się lekko. - Wolno wiatować - zażartował.

Ucieszyli się wyraźnie. Oficer pojawił się jak spod ziemi z kolejnym paskiem depeszy.

- Panie marszałku, czy wolno zwrócić się...

- No, gadaj - mruknął nieregulaminowo i uśmiechnął się pod nosem.

- Decyzją prezydenta za zasługi dla ojczyzny został pan odznaczony Orderem Orła Białego. Ceremonia wręczenia odbędzie się pojutrze w Warszawie.

Prezydent wysłała po pana osobisty samolot.

Michalski kiwnął głową.

- Spocznij, rozejść się! - rzucił komendę.

Odprawił adiutanta gestem i ruszył na przechadzkę po grocie. Nikt mu nie towarzyszył, zrozumieli, że chce w samotności przetrwać nieoczekiwany awans. Laska stukała o kamienie, dowódca doszedł do końca jaskini i, odwrócony plecami do podwładnych, wyjął z kieszeni na piersi niewielkie zawiniątko. Rozsupłał rzemyk i z małej płóciennej sakiewki wydobyl niemiecki Żelazny Krzyż. Długą chwilę patrzył na wytartą, popękaną emalię, a potem zacisnął wargi.

Rzeczka odzyskała niepodległość? A zatem pora wracać do domu.

\*\*\*

Kiedyś z Kijowa do Warszawy poczta szła czternaście dni. Spoglądałem przez okno, chłonąc dalekie widoki. Rzeczpospolita... Sąsiad, przyjaciel, sojusznik, okupant. Szachownica pól, gęste lasy, czasem zagubiona ferma lub szlachecki dworek otoczony parkiem. Wszystko to migało za oknami w szaleńczym tempie. Trzysta osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, lotnicze siedzenia, klimatyzacja. Czytałem peany na cześć zmodernizowanej przed miesiącem linii Lux-Torpeda Kijów - Lwów - Warszawa, ale rzeczywistość przerosła moje wyobrażenia.

Pociąg wjechał na stację i zatrzymał się niemal bezszelestnie przy granitowym peronie. Hydrauliczne siłowniki wydały lekki syk, drzwi

rozsunęły się na boki i do wnętrza wlała się fala rozedrganego upałem powietrza. Wsiadłem, mrużąc oczy. Tłum wolno płynął w stronę poczekalni, dałem się ponieść ludzkiej rzece. Kilku antyterrorystów stało w przejściu, taksując podróżnych wzrokiem. Nie zwrócili na mnie uwagi.

Z tego, co wiedziałem, stali tu tylko dla picu. Komputery z pewnością przetworzyły już obraz z kamer, rozbiły go na detale, zidentyfikowały wszystkich wysiadających. Gdzieś tam, w chłodzonych ciekłym azotem bankach pamięci powstała moja wirtualna teczka, gdzieś tam tkwiło już zapisane w systemie binarnym moje podanie i dwadzieścia siedem załączników oraz notatka, że wysiadłem z pociągu o tej i o tej godzinie... A jednak system nie był tak do końca szczelny...

Minąłem pomnik upamiętniający Polaków, którzy wtedy, w 1918 roku zajęli dworzec, zdobywając kompletny skład wagonów z wyposażeniem. Gdyby nie to, ciekawe, jak potoczyłyby się nasze losy. Strzelcy Siczowi totalnie przegrali sprawę. A przecież mieli czterokrotną przewagę liczebną...

Naklejone przy wejściu plakaty ostrzegały przed groźbą ataków terrorystycznych. Należało zwracać szczególną uwagę na osoby niosące paczki, walizki i plecaki. Uśmiechnąłem się pod nosem. Gdzie jak gdzie, ale tu akurat każdy mógł być potencjalnym terrorystą. Ostrzegano też przed podejrzanymi bagażami, pozostawionymi bez opieki. Na końcu zamieszczono zdjęcie człowieka w długim płaszczu. Wyglądał jak ekshibicjonista, ale wedle zapewnień autora instrukcji zamachowcy-samobójcy często występowali w takich wdziankach. Dalej ścianę zdobiły podobizny piętnastu najbardziej poszukiwanych członków ukraińskiej sekcji Al-Quaidy. Prezydent

Rzeczypospolitej podszedł do sprawy poważnie, nagrody pieniężne za ich ujęcie były sześcio - i siedmiocyfrowe. Trzeba się będzie rozejrzeć. Byłem ciekaw, czy moja twarz też kiedyś trafi na takie plakaty. I na ile mnie wówczas wycenią...

\*\*\*

Kamienica Kłopotowska, stojąca opodal zachowanego fragmentu murów miejskich, przeszła niedawno gruntowny remont. Szyld, stylizowany na siedemnastowieczny, informował, że wewnątrz mieści się bursa im. Tarasa Szewczenki oraz kaplica greckokatolicka. Po obu stronach wielkiej, okutej żelazem bramy znajdowały się niewielkie sklepiki. Widać pokoje dla uczniów mieściły się na wyższych kondygnacjach. Zapukałem do ciężkich, metalowych drzwi, a po chwili, spostrzegłszy guzik domofonu, wcisnąłem go. Szczęknął zamek. Wszedłem do wysoko sklepionej sieni. Biegła przez budynek na przestrzal. Kiedyś w dawnych dobrych czasach kupcy przetaczali tędy wozy z towarami.

Kobieta we flanelowej koszuli wyjrzała ze służbówki.

- Pa... Bohdan Pawluk - zreflektowałem się. Jestem we Lwowie, a więc w Polsce. Powinienem używać tutejszych form przedstawiania się. Najpierw imię, potem nazwisko.

- Ach, tak. - Mówiła po ukraińsku z silnym polskim akcentem. - Mam na imię Anna. Chodź, pokażę ci twój pokój. Tak jak chciałeś, na poddaszu.

Wspinaliśmy się po wąskich drewnianych schodach. Podłogi wyłożone były kamiennymi płytkami, ściany odmalowano niedawno, zapach farby ciągle jeszcze kręcił w nosie. Cisza wręcz dzwoniła w uszach.

- Regulamin dostaniesz później, drukarka wysiadła. Jeszcze nikogo nie ma.

Wdrapaliśmy się na ostatnie piętro. Strych zaadaptowano w trakcie remontu, po obu stronach korytarza ciągnęły się drzwi. Gospodyni zabręczała kluczami i otworzyła pierwsze po lewej. Pokoik nie był duży, jakieś dwa na trzy metry. Łóżko, biurko, dwa krzesła, szafa, skośny sufit, okno wprawione w płaszczyznę dachu. W kącie umywalka. Czego jeszcze potrzeba do szczęścia?

- Jest tu dostęp do Sieci? - Przeszedłem na polski.

- Oczywiście. - Wskazała mi skrzynkę z portem. - Dostęp wąskopasmowy, na radio, osiemdziesiąt megabajtów na sekundę - wyrecytowała wyuczoną formułkę. - Stołówka będzie czynna dopiero od pierwszego września.

- Jadam na mieście. - Uspokoilem ją.

- To chyba wszystko. - Poskrobała się po głowie. - No nic, w razie czego zejdziesz na dół i pytaj...

Poszła. Rozpakowałem walizkę. Wyjąłem komputer i podczepiłem kabelkiem. Ubrania ulokowałem w szafie. *Soroczka* nieco się pogniotła, trzeba wyprasować. Nad drzwiami powiesiłem ikonę. Potem przysunąłem sobie krzesło i otworzyłem okno. Wyjrzałem zaciekawiony. Wychodziło na zachód. Zobaczyłem hektary dachów, kopuły i wieże świątyń...

Zdjąłem z ulgą buty i wygodnie wyciągnąłem się na miękkim łóżku.

\*\*\*

Obudziłem się o szóstej po południu. Cienie wydłużyły się, panujący od rana duszny upał zelżał. Gdzieś od strony Wysokiego Zamku nadciągnął chłodny wietrzyk. Podreptałem na dół, zameldowałem się na portierni i wyszedłem na

miasto. Przyjemnie było wędrować zaułkami, choć czułem się tu dość obco. Idiotyczna, żółta barwa tynków przyprawiała o depresję. Brakowało mi też dwujęzycznych szyldów: Lwów wyczyszczono z napisów cyrylicą w stopniu niemal doskonałym... Poszedłem na Rynek. W podwórzu kamienicy Weneckiej urządzono małą, szykowną restauracyjkę. Zjadłem faskę polskich pierogów (z niezrozumiałej dla mnie przyczyny tu nazywały się „ruskie”) i popiłem kwasem chlebowym, który też był inny, dużo słodszy niż u nas... Przechodząc przez bramę, odebrałem tubus. Ciężki był jak cholera, ponad dwadzieścia kilo. Przerzuciłem sobie pasek przez ramię. Przełknąłem ślinę. Oddychałem równo, maszerując wzdłuż domów, aż serce się uspokoiło. Rozluźniłem mięśnie, zwolniłem. Teraz trzeba się przejść po placu, ktoś sprawdzi, czy nie mam żadnego ogona. Potem można wrócić na kwaterę. Zapadał zmierzch, ale na Rynku było jasno. Archaiczne latarnie, lampy łukowe, konstrukcji jeszcze inżyniera Rychnowskiego, świeciły ostrym, błękitnawym światłem. Dla odmiany w dziesiątkach ogródków piwnych zapalono niewielkie latarenki z wstawionymi do środka świeczkami. W Czarnej Kamienicy, mimo późnej pory, wabiły oświetlone witryny i kłębiący się wewnątrz tłum. Podeszedłem zaciekawiony. Całodobowa księgarnia. Pokręciłem ze zdumienia głową. *Wot*, kulturalny naród... Zawróciłem do bursy. Uliczki biegnące od Rynku były nieco ciemniejsze. Minąłem dwukrotnie gliniarzy, choć okolica wydawała się zupełnie spokojna. Brakowało tu za to wojskowych patroli, do których przywykłem od dzieciństwa. Policjanci, też uzbrojeni raczej lichy, mieli kabury z rewolwerami zamiast karabinków i pistoletów maszynowych jak w Kijowie.

Mimo to spociłem się jak mysz.

Do drzwi kamienicy Kłopotowskiej dotarłem pięć minut przed wyznaczonym przez regulamin czasem. Wdrapałem się na swoje poddasze, a potem zrobiłem coś bardzo nieregulaminowego.

Spryskałem buty żelem antyzapachowym, założyłem rękawiczki.

Otworzyłem okno i wypełzłem na dach. Był stromy, ale wykorzystując solidne zaczepy od piorunochronu, dotarłem do kładki dla kominiarzy. Ruszyłem nią powoli i ostrożnie, ładunek mi ciążył, bałem się, że stracę równowagę.

Kamienice łączyły się ze sobą, w kilku miejscach kładki nie istniały i musiałem balansować na kalenicach dachów. Wreszcie uznałem, że jestem wystarczająco daleko.

Usiadłem wygodnie na wąskiej desce i, opierając się o ciepły, nagrany słońcem komin, patrzyłem długą chwilę na zasypiające u moich stóp miasto.

Czy jeszcze kiedyś los się odwróci? Czy te place, zaułki, kamieniczki powrócą na łono Ukrainy? Może ciężką pracą wielu pokoleń zdołamy tego dokonać.

Najpierw wolność, może kiedyś w przyszłości ekspansja... Przypomniałem sobie plakaty z dworca. Podkładanie bomb zdecydowanie nie było tu najwłaściwszą drogą.

Oczywiście, mogli mnie wypatrzeć kamerą termowizyjną lub z satelity, w takim przypadku za pięć minut uliczka u moich stóp wypełni się radiowozami, a okoliczne dachy zaroją od snajperów...

Odkręciłem cztery zardzewiałe śrubki i zdemontowałem dekiel nakrywający szybik wentylacyjny. Otworzyłem tubus. Z wierzchu wyglądał jak zwyczajna plastikowa rura na mapy czy rysunki. Wewnątrz krył najnowszą technikę



naszych tajnych laboratoriów wojskowych. Rozgniotłem w dłoniach nieco specjalnej masy plastycznej i przykleiłem rurę wewnątrz komina. Cienki kluczyk kodowy umieściłem w gnieździe i przekręciłem o ćwierć obrotu. Zabłyśły diody kontrolek.

I to w sumie wszystko. Może za tydzień, może za pół roku car Włodzimierz wyciągnie nogi. Czterech pretendentów do korony zacznie się zreć o władzę i w Rosji wybuchnie jeśli nie wojna domowa, to totalny chaos. Wrócę tu, przekręcę klucz kodowy i zejść na ziemię. Wschodnia flanką będzie zabezpieczona, wtedy Ukraina powstanie...

Tu, we Lwowie, ma siedzibę najsilniejszy w południowej Polsce okręg wojskowy. Wokoło miasta, w promieniu kilkunastu kilometrów, leży kilkadziesiąt garnizonów. Jeśli Ukraina się zbuntuje, to właśnie one ruszą na nas. Wówczas uruchomię wbudowany w komórkę nadajnik i odpalę raketę. Przez dziesięć minut specjalny akumulator będzie ładował głowicę. Potem pocisk wystartuje. Wybuchnie na granicy stratosfery, rozsiewając w promieniu trzydziestu kilometrów drobinki pyłu. Każde ziarenko zawiera maleńki kondensatorek, mikroprocesor, cewkę i zminiaturyzowaną lampę radiową. Każde nadawać będzie szumy i trzaski na kilkudziesięciu losowo wybranych zakresach. Rakieta wyrzuci ich w powietrze mniej więcej tysiąc sztuk. Przez sześć do dziesięciu godzin we Lwowie i okolicy nie będzie działało radio, telewizja, telefony komórkowe i większość satelitarnych. Wysiądzie Sieć, wojskowe systemy naprowadzania samolotów i kanały przekazywania danych. Pierwsze uderzenie odwetowe zostanie stępione. A nasi będą mieli czas, żeby się przygotować.

Nie przyczyniam się do niczyjej śmierci. Nie zwiększam liczby ofiar. Ja tylko przestawiam zwrotnicę ludzkich losów, aby zginęło trochę więcej wrogów, a ocalało trochę więcej naszych.

Czułem, że takich jak ja jest więcej. Żołnierze tajnej linii frontu.

\*\*\*

Znałem już wcześniej Lwów z planów i albumów. Wiedziałem, że jeśli mam spędzić tu więcej czasu, muszę się choć trochę orientować w jego topografii.

Jednak co innego ślęczeć nad mapą, a co innego powłóczyć się zaułkami.

Wędrowałem, uczyłem się miasta. Zapamiętywałem, gdzie znajdują się sklepy spożywcze, księgarnie, antykwariaty. Na zwiedzanie muzeów przyjdzie dopiero czas. Na razie trzeba zebrać informacje potrzebne na co dzień.

Do szkoły będę chodził piechotą albo kupię sobie rower. W Kijowie sporo gadano o zamachowcach-samobójcach. Wprawdzie dotąd we Lwowie zanotowano nie więcej niż cztery takie przypadki, jednak na widok pojazdów komunikacji miejskiej przechodziły mnie ciarki.

Siedziałem na murku oporowym i usiłowałem wymienić uszkodzony teleobiektyw aparatu. Delikatnym, bambusowym pędzelkiem omiotłem z kurzu wewnętrzne zębaki i silniczki. Drobną paproch utkwiał między trybikami. Wyciągnąłem go pęsetą. Teraz pozostawało mi już tylko powkładać wszystkie elementy na miejsce, skrócić i sprawdzić, czy działa jak powinno.

Południe. Włączyłem niewielkie radyjko, ustawiłem na serwis informacyjny.

We Wrocławiu skończył się proces snajperów z Wehrwolfu, jak było do przewidzenia - siedem wyroków śmierci... W Wilnie eksplozja bomby

uszkodziła system energetyczny, połowa miasta bez prądu. O zamach podejrzewani są ekstremiści z Sajudisu. W Samborze samochód-pułapka eksplodował przed komendą policji, dziesięć osób rannych. Do zamachu przyznała się ukraińska sekcja Al-Quaidy, ale polskie służby podejrzewają skinheadów z UNSO. A we Lwowie spokój. Serwis zagraniczny, podkreśliłem dźwięk. Siedmiu polskich ochotników zginęło w Sudanie podczas potyczki z niedobitkami islamistów, delegacja handlowa USA rozpoczęła negocjacje w sprawie wejścia do Euroazjatyckiej Strefy Wolnego Handlu, w Rodezji i Liberii murzyńskie bojówki zaatakowały kilka ferm polskich osadników... Wiadomość z ostatniej chwili: Krzysztof Kamil Baczyński, wybitny poeta i prozaik, otrzymał drugą w swojej karierze Nagrodę Nobla!

Otarłem czoło z potu. Nawet tu, pod drzewami, nie było czym oddychać. Koniec lata okazał się nadspodziewanie upalny. Wpasowałem ostatni detal i wkręciłem obiektyw na miejsce. Pstryknąłem przełącznikiem od zoomu. Tym razem wszystko chodziło gładko. Spojrzałem na górujące nad Lwowem wieże i kopuły katedry ormiańskiej i wdusiłem przycisk. Pięciokrotne zbliżenie optyczne, do tego jeszcze ośmiokrotne cyfrowe. Ech, dawno trzeba było kupić nowocześniejszy sprzęt. Tylko nie bardzo miałem za co.

Odłożyłem aparat do torby. Dźwignąłem się z wysiłkiem. Opuszczenie ocienionego miejsca, a potem półgodzinny marsz przez miasto zdecydowanie mnie nie pociągały. Z trudem oderwałem się od muru i poczłapałem leniwie ścieżką w dół. Kilka blaszanych garaży, kamienica i wyjście na uliczkę...

Stary Kozak, zajmujący ławeczkę w kącie podwórza, położył dłonie na bandurze i trącił struny, wydobywając z nich początek jakiejś rzewnej

melodii. Zaraz jednak, zniechęcony i zmęczony upałem, odłożył instrument do futerału. Poglądził dla odmiany rękojeść szaszki i zadumał się głęboko. Co sobie wspominał? Szturm Moskwy czy trzy dni szaleństw w kawiarniach Paryża?

Szedłem ulicą. Sypiące się elewacje, w bramach kołesie, którym wrodzone poczucie elegancji nakazywało noszenie haftowanych koszul i spodni od dresu... Nie bałem się, swoich nie ruszali.

\*\*\*

Liceum im. Sienkiewicza znałem już wcześniej z fotografii. Mój pradziadek ze swoim oddziałem dwukrotnie próbował je zdobyć, wtedy w 1918 roku. Nie udało się. Polacy, choć w murach szkoły ukryła się ich zaledwie garstka, walczyli jak lwy... Wszedłem po szerokich schodach i przekroczyłem próg. Pradziadek został na zewnątrz, a mnie się udało. Czy to znaczy, że w ostatecznym rozrachunku on przegrał, a ja wygrałem? Czy może raczej to ja przegrałem, wchodząc tu jako petent, a nie jak przystało na członka mojej rodziny - z karabinem w ręce? W gruncie rzeczy jakie to miało znaczenie?

Dyrektor siedział za ciężkim, masywnym biurkiem, ozdobionym intarsjowanym w blacie herbem miasta.

- Bohdan Pawluk - przedstawiłem się. - Stypendysta fundacji Aleksandra Grina.

- Ach, to ty. - Uśmiechnął się lekko. - Witamy w naszej szkole.

- Przywiozłem dokumenty.

Odebrał ode mnie teczkę i przejrzał je pobieżnie.

- Wszystko chyba się zgadza - mruknął. - Zresztą gdyby czegoś brakowało,

można uzupełnić później...

W tym momencie ktoś zastukał do drzwi i do gabinetu wśliznęła się

ciemnowłosa dziewczyna. Przyniosła plik jakichś papierzysek.

- Świetnie, że jesteś. - Ucieszył się. - Możesz oprowadzić nowego kolegę po szkole?

- Oczywiście.

Miała piękne, ciemne oczy o migdałowym wykroju, grube brwi, brązowy

warkocz opadał jej do połowy uda. Granatowa spódnica i biała bluzka z

wielobarwnym, ormiańskim haftem podkreślały tylko jej urodę.

- Magdalena Korniakt. - Podała mi rękę. - Mów mi Magda.

Wymieniłem swoje nazwisko.

- U mnie to już wszystko. Zajęcia zaczynają się pierwszego września o dwunastej - powiedział dyrektor. - Wpadnij dzień wcześniej, dostaniesz legitymację.

Wszystkie klasy posiadały stare, drewniane drzwi, zapewne pamiętające

czasy nieudanego szturmu. Zamki na karty kodowe zainstalowano

dyskretnie, tak, aby nie rzucały się w oczy. Otwierała je po kolei.

- Szkolna izba pamięci.

Weszliśmy do sporej sali. Wzdłuż ściany ciągnęły się gabloty. Trochę

drobnych, zabytkowych przedmiotów, sztandar i fotografie obrońców

szkoły...

- Ten budynek posiada chlubną tradycję. Był jednym z najważniejszych punktów oporu.

- Wiem. - Uśmiechnąłem się.

Na wszelki wypadek nie chwaliłem się dokonaniem przodków.

- A to podarował szkole jeszcze mój dziadek. - Wskazała nieduży, oprawiony w skórę tomik leżący w gablocie.

Popatrzyłem na robaczki obcego alfabetu.

- Twoje nazwisko... - zacząłem.

- Owszem, należę do tego rodu. - Skromnie spuściła oczy. - Jestem

Ormianką. Moja rodzina mieszka we Lwowie od piętnastego wieku.

Za pancernym szkłem lśniły siedemnastowieczne monety. Na ścianach

wisiała kolekcja szabli i starych karabinów. W jednej z gablot, dyskretnie

podświetlone, stały posążki pochodzące z Grecji i Egiptu. Będzie jeszcze

okazja dokładnie to wszystko obejrzeć.

- A tu mamy pracownię biologiczną...

Podobne szafy, tylko uwieńczone fryzem z wypchanych ptaszków. Pod

szkłem słoje z węzami i innymi paskudztwami, wypreparowane kości, jaja

dinozaurów, piękne skamieliny, gabloty z motylami i pajęczakami, w kącie

ludzki szkielet...

- Zbiory jak w Muzeum Historii Naturalnej w Kijowie - mruknąłem z

podziwem.

- Kilku absolwentów służy w Polskich Korpusach Ekspedycyjnych, to

głównie ich dary.

Pracownia fizyczna. Stare, przedwojenne jeszcze kondensatory, obok, jakby

dla kontrastu, sporo nowoczesnego sprzętu. Gwizdnąłem cicho przez zęby na

widok urządzenia, ustawionego na honorowym miejscu.

- Generator fal radiowych Rychnowskiego? - zachwyciłem się.

- To tylko replika - zgasła mnie. - Oryginał stoi w sejfie Politechniki.

- Fakt. - Zawstydziłem się swojej głupoty.

Co by tu robił...? Portret inżyniera wisiał na ścianie zaraz koło godła.

Rychnowski, jedyny przypadek Nagrody Nobla przyznanej pośmiertnie. Choć oczywiście Niemiaszki nadal twierdzą, że fale radiowe odkrył ten złodziej i cwaniaczek Hertz.

Pracownia komputerowa była supernowoczesna, w życiu takiego wyposażenia nie widziałem. Cóż, w rankingu najlepszych liceów Rzeczypospolitej ta szkoła zajmowała trzecie miejsce.

- I to już chyba wszystko. - Skończyła oprowadzanie mnie po klasach. -

Chyba że chcesz zwiedzić pracownię geograficzną i chemiczną, basen, sale gimnastyczne...

- Nie chciałbym sprawić kłopotu. - Widząc, że gdzieś się spieszy, wymówiłem się grzecznie. - Fajne kolekcje dydaktyczne, a słyszałem, że i kadra nauczycielska...

- Wyłącznie od doktora w górę - dokończyła. - Masz szczęście, że dostałeś stypendium, bo chesne... - Wsunęła dłoń za kołnierzyk, jakby luzowała stryczek dławiący szyję.

Odprowadziła mnie do drzwi szkoły.

- Do zobaczenia. - Spojrzała na mnie pogodnie. - Ja muszę jeszcze posiedzieć w bibliotece.

\*\*\*

Dawny arsenał miejski odnalazłem bez trudu. Przysadzisty budynek o bardzo grubych ceglanych murach wabił obietnicą chłodnego wnętrza.

Zanurkowałem do środka. Zapłaciłem za bilet i po chwili znajdowałem się w głównej sali. Na parterze, a właściwie w przyziemi, zgromadzono bogatą kolekcję dawnej broni, na antresoli gościła wystawa obrazów Ciurlionisa. Muzyka, sącząca się ze stojącego w kącie odtwarzacza, była cicha, prawie na krawędzi słyszalności.

Obejrzałem kilka obrazów z brzegu i stwierdziłem, że artysta ten komponował genialnie, za to malował kiepsko. Zszedłem więc po schodkach i pogrzyłem się w świecie narzędzi mordy i zniszczenia. Spiżowe lufy armat, stalowe piszczele karabinów, dziesiątki króćcie w gablotach, hakownice, muszkiety... Nie sądziłem, że w arsenale znajdę tak bogate zbiory. Szedłem powoli, niespiesznie podziwiając kolekcję.

Broń biała, to interesowało mnie trochę mniej, ale przecież nie mogłem przepuścić okazji. Szable - od batorówek, poprzez używane w armiach zaborców, aż po te najnowsze. Zatrzymałem się przed ostatnią gablotą.

Ludwikówka wzór 2001, kompozyt z węglików spiekanych, tytanu i jakichś niesamowitych stopów, używanych w promach kosmicznych.

- I znowu się spotykamy. - Usłyszałem za plecami głos Magdy.

Odwróciłem się zaskoczony. Była w towarzystwie jakiejś blondyneczki.

- Poznajcie się, to nasz nowy kolega, Bohdan Pawluk...

- Olga Neboraka. - Przedstawiła się jej towarzyszka. - *Meni duže pryjemno*

*poznajomytsia z wamy.* - Uśmiechnęła się. - Słyszałam, że będziemy razem

chodzić do szkoły. - Przeszła na polski, chyba z uwagi na obecność

przyjaciółki.

Skłoniłem się na potwierdzenie.



- Kolejne historyczne nazwisko. - Przechyliłem głowę w pytaniu. - Z tego, co pamiętam...

- Moi przodkowie byli katami miejskimi od przeszło sześciuset lat. Zresztą, mają tu nasz miecz...

Przeszliśmy kilkanaście kroków. Diorama, wielkie szklane akwarium, zawierała całą scenkę rodzajową. Miecz wbity był w pień, obok wymodelowany z wosku kat unosił uciętą głowę jakiegoś pechowca.

- Nasza rodzina przekazała go w depozyt - powiedziała dziewczyna. -

Obecnie nie jest nam potrzebny. Mój tata najczęściej wiesza skazańców.

Powiedziała to od niechcienia. Aż poczułem ciarki na plecach. No cóż, w zasadzie nie myśli się o tym, ale ktoś musi przecież wykonywać wyroki...

Miecz był piękny, bardzo stara, stalowa klinga, ozdobiona gmerkiem *me facit Solingen*, na jelcu główki mężczyzny i kobiety dla oznaczenia stron ostrza. Ciekawe, ilu egzekucji nim dokonano? Nie zapoznam się z nim nigdy, choć niewykluczone, że będę musiał zawrzeć bliższą znajomość z ojcem dziewczyny. Jeśli mnie rozszyfrują, zostanę zapewne powieszony, chyba że uznają mnie za dywersanta, działającego na rozkaz i w czasie wojny. Wtedy będę rozstrzelany. Z trudem oderwałem wzrok od hipnotyzującej szarej klingi. Decyzję podjąłem już dawno. Jeśli muszę oddać życie dla ojczyzny - poświęcę je. A może... Czasem, bardzo rzadko dokonywano egzekucji publicznie. Szafot, kołysząca się pętla i Magda, nakrywająca mi głowę chustką. Jak to się u nich krzyczy w takim przypadku? „Mój ci on”? Mogłoby się udać, oczywiście gdyby nosiła chustkę, a nie elegancki kapelusik...

- Mają tu także coś naszego. - Magda wyrwała mnie z zadumy. - Chcesz

zobaczyć?

- No pewnie...

Cofnęliśmy się. W gablotce leżała szabla wschodnia, tak zwana ormianka.

Nie zwróciłem na nią wcześniej uwagi. Głownia pokryta była wzorem jaśniejszych i ciemniejszych pasków stali, przypominającym nieco słoje drzewa.

- Prawdziwy bułat? - Z szacunkiem pokręciłem głową.

- Jedna z trzech takich w Polsce - pochwaliła się.

Stała opodal, pociągnąłem nosem. Pachniała jakimiś markowymi perfumami... Hmm, „Malwowy Dworek” albo „Babie Lato nr 3”? Dwieście złotych za flakonik, może więcej. Za wysokie progi dla biednego Kozaka...

- Przejdiesz się z nami na herbatę? - zapytała.

- Z przyjemnością, jeśli tylko nie będę przeszkadzał.

Posiedzieliśmy godzinkę w gruzińskiej restauracyjce. Wypytywałem je głównie o program nauczania, moje domysły, że od samego początku roku wezmą nas ostro do galopu, potwierdziły się. Wreszcie rozstaliśmy się koło pomnika Iwana Fiodorowa.

- Może wpadniesz jutro? - zaproponowała. - Mam urodziny. Poznam cię z kilkoma jeszcze osobami z naszej klasy.

- Z największą przyjemnością. - Ukłoniłem się. - Gdzie i o której?

- U mnie. - Uśmiechnęła się. - W kamienicy Korniaktów, z bramy po schodkach w dół. Zarezerwowałam jedną salę. Będziemy siedzieć gdzieś od szesnastej.

Olga lekko uścisnęła moją dłoń i poszły. Wracalem na kwaterę zamyślony.

Jeśli powstanie nie wybuchnie, jeśli nie będę musiał odpalać tego świństwa ukrytego w kominie, mam u niej jakieś szansę czy nie?

\*\*\*

Bazar znalazłem zupełnie przypadkiem. Spacerowałem zadrzewionym plantem, ciągnącym się między starym miastem a ulicą Legionów, doszedłem do gmachu opery, gdy po prawej stronie dostrzegłem kilka kramików i tłumek ludzi. Pchli targ, trochę szmelcu, haftowane huculskie obrusy, drobne antyki i zwyczajna starzyzna... Mimo ostrzeżeń, że zamachowcy-samobójcy lubią takie zatłoczone miejsca, interes kwitł. Nikt widać nie przejmował się zagrożeniem.

Wędrowałem, wypatrując czegoś ciekawego. Chłopak w kozackiej koszuli sprzedawał kryształą pamięć z filmami. Pogrzebałem w nich chwilę i wybrałem sobie cztery z programami edukacyjnymi. Zapłaciłem, a potem powlokłem się na kwaterę. Zapadał wieczór, Lwów powoli stygł. Otynkowane na żółto ściany i kamienne bruki oddawały zgromadzony przez cały dzień żar. Wdrapałem się na swoje poddasze. Wyjąłem z walizki komputer i wsunąłem kość do czytnika. Trzeba sobie trochę powtórzyć przed rozpoczęciem nauki. Jesteśmy tu w mniejszości, więc muszę dbać, by nie przynieść wstydu swojemu narodowi...

To nie był program edukacyjny. Na kryształach zapisano jakiś piracki film.

- *Szczob tebe zlydni obsidly* - warknąłem pod adresem sprzedawcy, a potem zobaczyłem tytuł i z wrażenia opadła mi szczęka...

*Vier Panzerkameraden*. Słyszałem o tym filmie już dużo wcześniej.

Zdelegalizowany wszędzie tam, gdzie sięgały polskie wpływy, krążył w

dziesiątkach nielegalnych kopii. Amatorska robota, dzieło kilkunastu niemieckich licealistów, dysponujących starym czołgiem oraz szkolnym komputerem. Nawiasem mówiąc, poszli za to siedzieć. Spora część scen batalistycznych zmontowana została brawurowo z polskich kronik wojennych, tylko na burtach czołgów oznaczenia zmieniono na pierwotne - niemieckie. Musieli się namęczyć, żeby tak klatka po klatce wklejać to, co trzeba... Fabułka była głupia i mdła, choć pomysł niczego sobie. Historia alternatywna, pokazująca, co mogłoby się stać, gdyby Mussolini nie podpisał pokoju z Rzeczpospolitą. Na południu Francji, w obozie dla uchodźców, formowana jest niemiecka armia. Czterej dzielni wehrmachtowcy i ich szalenie inteligentny owczarek alzacki Scharik dostają włoski czołg, nazwany przez nich *Rotkopf*, którym ruszają do boju z polskim okupantem. Ot, takie *science fiction*. Jak na nikłe środki, którymi dysponowali twórcy - całkiem zgrabne. A co Polakom krwi napsuło...

Obejrzałem do samego końca i wyjąłem z czytnika. I z tym fantem zrobić? W Kijowie mógłbym spylić go za dwieście złotych. Tylko czy warto ryzykować? A jeśli to prowokacja? Nie, chyba nie, przecież wybrałem przypadkowo.

Sprawdziłem pozostałe, na nich były normalne programy.

Podrzuciłem w dłoni feralny sześcian, a potem umieściłem go koło framugi i solidnie trzasnąłem drzwiami. Pozbierałem odłamki i wsypałem do kosza na śmieci. Nawet jeśli zgodnie z przepisami zrobią u mnie rewizję, już tego nie odczytają.

Pstryknąłem guzik radia. Car Włodzimierz Kiryłowicz ostro potępił naruszenie granicy malezyjsko-rosyjskiej, dokonane przez żołnierzy

Polskiego Korpusu Ekspedycyjnego. Delegacja senatu USA zgodziła się na zniesienie ceł, ale wysunęła prośbę, by rozważyć ponownie projekt zniesienia dla Amerykanów wiz do krajów ESWH. Rząd litewski odciął się od samobójczych ataków w Wilnie. Światowy Kongres Syjonistyczny wezwał Żydów do opuszczenia Polski, gdyż polityka filosemityzmu i nadmiernej tolerancji religijnej grozi im totalną asymilacją i polonizacją. Prezydent Brazylii zażądał na forum Ligi Narodów zniesienia światowego embarga na budowę reaktorów i broni atomowej. Szwedzi przekazali Rzeczypospolitej szóstą partię zabytków i starodruków zrabowanych podczas Potopu. Na ulicach Bukaresztu rumuńska policja przeprowadziła wielką akcję wyłapywania angielskich, niemieckich i francuskich żebraków. Nudy... Spojrzałem za zegarek - pora spać.

\*\*\*

Wszedłem w bramę kamienicy Korniaktów. Niewielki, gustowny szyld, podświetlony halogenkiem, ciężkie drzwi, chyba jeszcze siedemnastowieczne, stały gościnnie uchylone. Zszedłem po wąskich ceglanych schodach do traktierni, ukrytej w głębokiej piwnicy.

Pierwsza salka wypełniona była dzikim tłumem studentów. Wypatrzyłem w kącie kamienny portal, przejście do dalszych pomieszczeń. Ruszyłem w jego stronę, gdy nieoczekiwanie w ucho wpadł mi fragment toczącej się przy stole dyskusji.

- ...dlatego uważam, że przesunięcie zachodniej granicy i oparcie jej na Odrze i Nysie Łużyckiej było fatalnym błędem - perorował jakiś chłopak w studenckiej czapce. - Jeśli już chcieliśmy zająć te tereny, należało

konsekwentnie wysiedlić wszystkich Niemców lub nie osiedlać tam Polaków i Żydów. Mozaika etniczna niby przyczyniła się do repolonizacji tej ziemi, ale przez ostatnie dwadzieścia lat ekstremiści z Wehrwofu zabili przeszło dwa tysiące naszych, osadników i autochtonów...

- Grubszym błędem było przyznanie Niemcom pełnej niepodległości -

odezwał się jego towarzysz. - Zaraz skoczą nam do gardeł. W Rzeszy żyje sto milionów Niemców. Po tym, jak wstrzymaliśmy im fundusze strukturalne, bezrobocie sięgnęło tam trzydziestu pięciu procent, tylko patrzeć nowego Hitlera...

- Dolicz jeszcze dziesięć milionów na ziemiach odzyskanych - odezwał się pierwszy. - I z pięć milionów gastarbeiterów. To potencjalna piąta kolumna.

- A nas jest raptem sześćdziesiąt pięć milionów. Nigdy w historii nie mieli takiej przewagi liczebnej. A nie zapominajmy o ukraińskich ekstremistach tu, we Lwowie, białoruskich snajperach w Mińsku, na Litwie jest już niemal regularna partyzantka... Polska pali się na wszystkich krawędziach. Dziś okazaliśmy fatalną słabość wobec Rzeszy, jutro ten świr, generał Pawluk, zrobi powstanie i oderwie Ukrainę.

- Nie taki z niego wariat - zaproponował ktoś siedzący za filarem. - Pomysł z przerabianiem taksówek na pojazdy bojowe jest genialny... Zresztą ma tego już ponoć kilkadziesiąt tysięcy, a na razie grzecznie powtarza jak mantrę, że jest naszym sojusznikiem i chciałby tylko rozszerzenia autonomii.

- Gdybyśmy nie mieli atomówek, to te jego taksówki już by jeździły po ulicach Lwowa. A co będzie, jak Szwaby skopiują jego pomysł?

- Są zdemilitaryzowani...

- Po pierwszej światowej też byli. A produkcję takich wyrzutni łatwo ukryć.

Nasze szczęście, że brak im przemysłu samochodowego, bo...

Miałem ochotę jeszcze przez chwilę posłuchać, ale w przejściu prowadzącym do drugiej piwnicy stanęła Magda. Pomachała mi. Wyjąłem zza pleców bukiet i ruszyłem w jej stronę.

Drugie pomieszczenie było niemal identycznej wielkości. Ściany wymurowane z wapiennych okrzesców i grubej, szesnastowiecznej cegły, ciężkie, łukowate sklepienia, posadzka wyłożona kamieniem, solidne dębowe stoły i ławy, poczerniałe ze starości... Gości nie było dużo, ot, kilkanaście osób.

- *Wsioho najkraszczoho.* - Z uśmiechem podałem jej kwiaty.

- *Szad szenorhagal em* - odpowiedziała po ormiańsku, nadstawiając policzek.

Pocałowałem ją.

- To moi przyjaciele, głównie z klasy. - Przedstawiła mi po kolei wszystkich, ale oczywiście imiona natychmiast dokumentnie mi się poplątały. Siedliśmy za stołem, zaraz też wniesiono dla mnie kufel zimnego piwa. Popatrzyłem z niepokojem.

- Spokojnie. - Ścisnęła moją dłoń. - Jesteśmy u mnie w domu. Zresztą nawet gdyby wpadła policja, koncesji na wyszynk nam nie zabiorą. Jan Kazimierz nadał mojej rodzinie wieczyste prawo produkcji i handlu alkoholem, a nasza władza szanuje stare przywileje...

Pokręciłem z uznaniem głową. Piwo było bardzo dobre, jasne i lekkie, pszeniczne chyba. Miało nie więcej niż trzy procent alkoholu.

- Pawluk to nazwisko ostatnio dość głośne... - zauważyła śliczna brunetka.

Jak miała na imię? A tak, Gosia.

- Generał Ihor Pawluk jest moim wujkiem. - Nie widziałem powodów, żeby to ukrywać. - Ale nie przyjechałem tu na przespiegi - zażartowałem.

Odprężyli się.

- Sporo pisano w brukowcach na temat tej jego cudownej broni. Naprawdę chce zrobić czołgi z taksówek? - zainteresował się Marek.

- Skąd! - zaprotestowałem. - Żadne czołgi. To tylko nieco unowocześnione jednoosobowe samochody terenowe. Dozbrojone tak, by sprawdziły się na nowoczesnym polu walki. Ostatecznie nasze korpusy ekspedycyjne wspierają Polskę w kilku konfliktach jednocześnie...

- Niewiele napisali o parametrach technicznych - mruknął Sławek. -

Widziałeś te pojazdy na oczy?

- Owszem.

- Jak z szybkostrzelnością? - zapytał.

- Wersja podstawowa, automatyczna, odpala dziesięć pocisków raketowych na minutę, zestaw podwójny dwukrotnie więcej. Są problemy z celnością, ale nasze laboratoria już nad tym pracują. W standardowym samochodzie osobowym, po wyrzuceniu tylnych siedzeń oraz przedniego fotela pasażera, mieści się dodatkowy zbiornik paliwa o objętości stu sześćdziesięciu litrów oraz czterdzieści rakiet - wyjaśniłem. - Ich podawanie na wyrzutnię jest zautomatyzowane. Można też dopiąć od tyłu zwykłą przyczepkę z dwoma zapasowymi stelażami pocisków. Tak więc, zakładając minimalną celność dwudziestu pięciu procent, możemy wyeliminować na przykład trzydzieści



czołgów... Oczywiście teoretycznie. Jedną rakieta ciężko jest zniszczyć czołg, a nasze pojazdy można podziurawić z karabinu. Dywizji pancерnej musielibyśmy przeciwstawić pięć, może osiem dywizji samochodów, co oznacza poważne straty w ludziach. Jednak w przypadku długotrwałej wojny na wyniszczenie będziemy górą. Budowa czołgu trwa długo, pochłania masę części. Potem smary, części zamienne... Układ jezdny trzeba co jakiś czas poddać generalnemu remontowi. My możemy od biedy uzbroić zwykłe samochody. A mamy ich z piętnaście milionów. Nastawiamy się na masową produkcję i raczej wymianę niż remonty.

Zagryźli wargi, zastanawiając się nad moją wypowiedzią.

- A jaki jest zasięg operacyjny takiego pojazdu? - zapytał wreszcie Marek.
- W przypadku wozów terenowych, przy zużyciu średnio ośmiu litrów ropy na sto kilometrów, jest w stanie przejechać bez tankowania dwa tysiące kilometrów, choć uwzględniając współczynniki manewrowości, jego optymalny zasięg spada o jedną czwartą. Działając w grupie, nasza „taksówka” może zniszczyć do trzydziestu celów na szlaku bojowym, liczącym półtora tysiąca kilometrów. Potem oddział trzeba zaopatrzyć w paliwo i amunicję, na przykład drogą powietrzną. Może to być nieco kłopotliwe, bowiem takie pojazdy, poruszając się na przykład po autostradach, wyczerpią zapas paliwa już po piętnastu, dwudziestu godzinach jazdy... Jeśli jednak na przyczepkę wrzucimy dwa dodatkowe zbiorniki, po sto sześćdziesiąt litrów...
- To dojedziecie do Chin - mruknęła Gosia. - Chyba że wolicie Hiszpanię. Z Kijowa do Warszawy w ile? Cztery godziny?
- Oj, tam. - Machnąłem ręką. - Jesteście sojusznikami od pół wieku, więc

powinniście się cieszyć ze wzrostu naszego potencjału obronnego... Znacnie tego świra cara Włodzimierza. Całkiem zerwał się wam z łańcucha. Rosja łyknęła Chiny i Koreę. Granice zachodnie z czasów carycy Katarzyny snią mu się pewnie po nocach...

- Po trzecim wylewie nie bardzo jest w stanie kierować państwem - zauważyła Magda.

- Ale jego wnuk Grigorij, po tatusiu Hohenzollern... Dość o polityce, solenizantka wygląda na znudzoną. Porozmawiajmy lepiej o czymś wzniosłym - zaproponowałem.

- Może o fizyce lotu szybszego niż światło? - rzucił Witek. Wszyscy parsknęli śmiechem.

- Twojemu wujkowi nic nie wyjdzie z tych taksówek - powiedział do mnie Piotrek na boku. - W razie czego wyślemy bombowce strategiczne. Bomby napalmowe...

- A po co je wysyłać? - Udałem zdziwienie. - Przecież jesteśmy sojusznikami - podkreśliłem z mocą.

Rozmowa potoczyła się w innym kierunku. Uśmiechnąłem się pod nosem. Wyślecie swoje bombowce, jasne... Wujek pokazał mi jako ciekawostkę „szerszenia”. Urządzenie wielkości muchy, wykonane z piekielnie twardych węglików spiekanych. Dziecinnie proste - kadłub, skrzydełka, silniczek na czerwoną rtęć. Po uruchomieniu sygnałem radiowym leci do góry, osiąga pułap około piętnastu kilometrów i zaczyna opadać ku ziemi. W samolocie lecącym z szybkością dźwięku zderzenie z „szerszeniem” wyrwie dziurę.

Polskie odrzutowe bombowce strategiczne lub rakiety balistyczne z

głowicami atomowymi po wpadnięciu w chmurę „owadów” zamienia się w wielkie sita. Problemem była tylko ilość. Aby skutecznie zatrzymać polską inwazję, potrzebowaliśmy setek milionów sztuk.

A było jeszcze jakieś draństwo o kryptonimie „babie lato”, nitki z włókna węglowego o średnicy jednego mikrona i długości kilkunastu kilometrów.

Jedna taka utrzymywała ciężar kilkuset kilo. Tylko nie bardzo wiedziałem, na jakiej zasadzie to ma działać. Może przeciw helikopterom? A w naszym arsenale z pewnością było jeszcze sporo niespodzianek, przecież wujek nie pokazał mi wszystkiego.

- Słyszeliście, że w naszym skansenie mają kręcić „Wilcze gniazdo” według książki Komudy? - rzuciła nowy temat Gosia.

- Cholerni koniunkturaliści - parsknęła śliczna blondynka z wystającymi kośćmi policzkowymi. Chyba miała na imię Dorota. - Bez przerwy te lektury szkolne ekranizują. Tylko na pieniądzach im zależy, a kinematografia podupada.

- Fakt - mruknął Paweł. - Mogliby część zysków ze sprzedaży naszych seriali do Brazylii i Wenezueli przeznaczyć na nakręcenie czegoś naprawdę wybitnego. A nie tej sieczki, którą wciskamy Amerykanom.

- „Wilcze gniazdo” będzie reżyserował Staszek Mąderek. - Brunetka broniła swojego zdania. - To może być niezły film.

- Kto?! - zdumiała się solenizantka. - To my czekamy na trzecią część

„Gwiazd w czerni”, a on się na drobne przy chałturze rozmienia?

- A u was ponoć robią „Ogniem i mieczem”? - Paweł popatrzył na mnie nad stołem. - W gazetach pisano, że Ukrfilm zwerbował naszych aktorów za jakieś

nieprawdopodobne pieniądze.

Uśmiechnąłem się skromnie.

- No fakt, trzeba było grubej mamony, żeby przełamać ich opory. Ale musieliśmy mieć dokładnie tych samych, żeby nasza wersja była w pełni kompatybilna. Zawsze taniej kupić niewykorzystaną kliszę oraz prawa i przemontować sceny, niż kręcić od zera.

- A co wam się w filmie nie podobało? - zdziwił się Maciek.

- Wasza wersja wydarzeń nie do końca odpowiadała oczekiwaniom ukraińskiego widza - wyjaśniłem. - Sienkiewicz nas chyba nie lubił... Zresztą planujemy poprawić tylko kilka scen ze środka, no i zakończenie.

Wolelibyśmy, żeby było bardziej optymistyczne.

- Przecież dobrze się kończyło? - Olga uniosła brwi. - Skrzetuski spotkał się z Heleną, nawet Bohun żywy wyszedł...

- No więc u nas Helena odjedzie z Bohunem, tak przynajmniej słyszałem. -

Błysnąłem zębami. - Skrzetuski ocaleje, tylko trochę go na odchodnym konkurent szabelką sponiewiera...

Wszyscy parsknęli śmiechem. Na stół wjechały kolejne kufle z piwem i pięknie przyrumieniona gołonka. Zapach zniewalał, kręcił w nosie. Ale piwa tym razem nie tknąłem - musiałem być za godzinę idealnie trzeźwy. Napiłem się za to kwasu.

Było bardzo przyjemnie. Dobrze mieć szesnaście lat we Lwowie... A jednak nie mogłem tak do końca pozbyć się uczucia niesmaku do samego siebie.

Przyjęli mnie do swojego grona od razu, zaufali, a ja... A ja mam na dachu jednej z kamienic raketę. Od hołoty z talibanu różnię się tylko tym, że nikogo

nie planuję zabić. Mordowanie w imieniu ojczyzny oddałem w ręce fachowców. Może już za kilka dni Lwów stanie się miastem frontowym. Kto wie, może nawet nasza armia przejściowo zdoła go zająć. Nie miałem wątpliwości. Ci wszyscy siedzący wokół chwycą za broń, jak ich rówieśnicy wtedy, w 1918. A jeśli znajdziemy się po obu stronach barykady? Gadali wesoło, przekrzykując się nawzajem, gdy pożegnałem się i ruszyłem na kwaterę. Idąc pokrytymi rosą uliczkami, daremnie usiłowałem otrząsnąć się z przygnębienia i poczucia nadciągającej zagłady...

Przesyłka od wujka nieco mnie zaskoczyła. Rozprułem kopertę i gwizdnąłem cicho. Dwa bilety na jutrzejszą premierę „Burana”. List był krótki i lakoniczny.

*Dostałem od polskiego ambasadora - pisał wujek. - Ale szczerze powiedziawszy, nie mam ochoty tłuc się godzinę pociągiem z Kijowa do Lwowa, więc pomyślałem, że Tobie się bardziej przydadzą.*

Przydadzą? No pewnie, od dawna chciałem zobaczyć tę sztukę. Nagle zamarłem, a gdyby tak... Miałem dwa bilety, mogłem zaprosić Magdę. Zgodzi się czy nie? Sięgnąłem po telefon.

\*\*\*

Wyprasowałem *soroczkę*. Szeroki, czerwono-czarny wołyński haft ostro odcinał się od śnieżnobiałego płótna. Przewiązałem się tkanym z rzemieni kozackim pasem i przejrzałem w lustrze. Wyglądałem szykownie jak diabli. Tylko butów nie miałem odpowiednich. Sprawdziłem, czy wziąłem bilety, narzuciłem na ramiona kurtkę i byłem gotów. Poszedłem po przyjaciółkę do kamienicy Korniaktów. Otworzył mi jej ojciec.

- Ach, to ty? - Uśmiechnął się. - Jeszcze się stroi... Wejdz, proszę. Mam na imię Paweł.

- Bohdan. - Podałem mu dłoń. - Miło poznać.

Wspięliśmy się na piętro. Od strony ulicy urządzono niewielki salon.

Siedemnastowieczne skrzynie, ciężkie gdańskie szafy, krzesła kryte tłoczoną skórą. Poczulem powiew historii, w tym pomieszczeniu ich przodkowie zawierali transakcje przez ostatnie pięć stuleci... Tu budowali potęgę swojego rodu. W kącie wisiał jakiś koszmarny bohomasz.

- *Wot te na* - mruknąłem.

- Bruno Schulz i Witkacy namalowali wspólnie tylko siedem dzieł. -

Potwierdził moje domysły. - Mój ojciec był z nimi zaprzyjaźniony, dostał jeden z obrazów.

Znałem tę historię. W 1956 roku obaj artyści spotkali się w Drohobyczu.

Polskie rakiety z głowicami jądrowymi stały już na Kubie, gotowe do odpalenia. Ludzkość znalazła się na krawędzi trzeciej wojny światowej... Obaj malarze doszli do wniosku, że nadchodzi apokalipsa. Przez tydzień pili absynt i malowali, a ostatniego dnia mieli popełnić samobójstwo. Nie mogli jednak ustalić sposobu, więc strasznie się pokłócili, pobili i obrażony Witkacy wyjechał do Zakopanego.

- Szczerze powiedziawszy, nie przepadam za sztuką współczesną - powiedziałem, przenosząc wzrok na sufit.

Na plafonie pysznił się wspaniały fresk, alegoria handlu lwowskiego. Znałem go wcześniej z reprodukcji - ale co innego oglądać go w książce, a co innego patrzeć na oryginał. Skrzypnęły stare, okute żelazem drzwi.

Magda w białej haftowanej bluzce, brązowej skórzanej kamizelce i

ciemnowiśniowej spódnicy wyglądała olśniewająco. Przywitaliśmy się.

- Podrzucę was pod operę - obiecał jej ojciec.

- Dziękuję - powiedziałem.

Parkował przed ratuszem, w strefie zarezerwowanej dla radnych miejskich.

Terenowy Tarpan G4, z figurką galopującego konia na masce... Wsiedliśmy.

Przekręcił kluczyk w stacyjce. Pojazd ruszył prawie bezgłośnie.

- Napędzany reaktorem na czerwoną rtęć? - zdziwiłem się.

- Owszem - potwierdził. - Prototypowy model. Jestem inżynierem, dostałem go do testowania w ruchu ulicznym...

- Po jednym doładowaniu może przejechać czterdzieści tysięcy kilometrów - dodała Magda z dumą.

Przed budynkiem kłębił się spory tłumek. Zanurkowaliśmy do środka.

Sprawdzono nasze bilety. Zajęliśmy miejsca w amfiteatrze. Magda rozglądała się po sali, wypatrując znajomych. Popatrzyłem na nią spod oka, nie była bardzo ładna, ale miała w sobie mnóstwo uroku. Westchnąłem w duchu, myśląc o ukrytej rakiecie i moim zadaniu.

Wreszcie kurtyna poszła w górę. Step, na horyzoncie umocnienia Irkucka, polscy i rosyjscy żołnierze, grzejący dłonie przy ogniu, transportery opancerzone. Holograficzne dekoracje najwyższej klasy, sztuczny śnieg, prószący z wyczarowanych laserami chmur. Przebrzmiała ostatnia aria-lament sanitariuszki, oplakującej zabitych podczas szturm i akt pierwszy się zakończył. Wyszliśmy do foyer. Magda spotkała jakąś znajomą i zamieniła z nią kilka słów. Ja rozglądałem się po budynku, podziwiając rozwiązania

architektoniczne. W myślach porównywałem go z operą w Kijowie.

Akt drugi. Szturm na miasto. Krzysztof Kamil Baczyński był wtedy jeszcze szeregowcem. Został ranny na samym początku... I akt trzeci - polskie wojsko wkracza do miasta, kozacy barona Aleksego Ungerna, którzy nocą opanowali Irkuck, bratają się z sojusznikami. Na głównej ulicy nabity na pal Beria wyśpiewuje końcową arię, wokoło na latarniach dyndają trupy jego ostatnich towarzyszy. Kurtyna opadła.

Wracaliśmy po bruku zroszonym niedawnym deszczem. Magda, ożywiona, gwizdała pod nosem melodie z opery. Siłłem się na wesołość, zagadywałem ją, ale w głowie tłukły mi się niewesołe myśli. Tam, w Mongolii, żyli ciągle potomkowie krwawego barona i jednej z chińskich księżniczek. Jeśli car Włodzimierz umrze, zapewne spróbują oderwać te tereny od *matuszki Rasiji*... Wreszcie rozchmurzyłem się. Co ma być, to będzie. Stanęliśmy pod bramą kamienicy Korniaktów.

- Kiedy spotkamy się znowu? - zapytałem.

Uśmiechnęła się, spoglądając na mnie znad okularów.

- Jutro parada wojskowa. Wybieram się z kilkoma znajomymi. Wypatruj nas.

Nadstawiła mi policzek i ze śmiechem uciekła do bramy.

\*\*\*

Obudziły mnie dzwony kościołów. Umyłem się i ubrałem, po czym zszedłem na parter. 27 sierpnia, rocznica wybuchu wojny... Na Ukrainie obchody urządzano 2 września - w tym dniu polskie wojska, wraz kilkudziesięcioma tysiącami naszych ochotników, przekroczyły przedwojenną granicę i starły



się z Sowietami, przynosząc wolność Ukraińcom. No, prawie wolność. Od sześćdziesięciu lat nie mogliśmy jakoś przekonać braci Polaków, że dalej poradzimy sobie już sami i że nie muszą trzymać na Ukrainie swoich wojsk...

W kiosku na rogu kupiłem gazetę i przejrzałem pobieżnie. Tu, we Lwowie, parada miała się odbyć o dziesiątej. Miałem jeszcze trzydzieści minut.

Śniadanie zjadłem w „Kawiarni Szkockiej”. Od dawna chciałem zobaczyć to słynne miejsce. Wczesnym rankiem było tu przyjemnie pusto. Mniej więcej jedna czwarta lokalu odgradzona została grubym pluszowym sznurem.

Dziubałem jajecznicę i popijałem kwasem, patrząc na woskowe figury słynnych matematyków.

Zbity tłum mieszkańców miasta stał, wyczekując rozpoczęcia uroczystości.

Przy gmachu opery zbudowano niewielką trybunę, defiladę odbierać miał burmistrz, komendant wojskowy oraz najbardziej zasłużeni weterani.

Zagrzmiała muzyka i uroczystości się rozpoczęły. U nas, w Kijowie, defilowały zazwyczaj różne rodzaje wojsk, tu było inaczej. Żołnierze maszerowali lub jechali konno w strojach historycznych. Najpierw szli woje z czasów pierwszych Piastów, za nimi zakuci w zbroje rycerze. Niesiono repliki dawnych sztandarów, tych spod Legnicy i spod Grunwaldu. Za konnym rycerstwem szlachta w kontuszach i przy szablach, husaria...

Poczułem znajomy zapach perfum. Magda przyszła w towarzystwie Gosi i Piotrka. Obie dziewczyny wystroiły się w suknie wzorowane na siedemnastowiecznych, a ich towarzysz miał na sobie kolczugę.

Przywitaliśmy się.

Patrzyłem w milczeniu na coraz to nowe grupy ludzi. Historia ożyła, stała się

namacalna... Mężczyźni i uczniowie podstawówek, w ubraniach sprzed

dziewięćdziesięciu lat, z opaskami na ramieniu, uzbrojeni w karabiny

Mosina...

- Orleńskie? - zapytałem Piotrka.

- Oczywiście, dbamy o lokalne akcenty. - Uśmiechnął się lekko. - Żyje też

jeszcze kilku weteranów tych zmagających, stoją na trybunie.

- Gdzie? - zaciekawilem się.

Magda podała mi małą lornetkę. Faktycznie, koło burmistrza siedziało paru

mężczyzn w starych, polskich mundurach. A więc tak wyglądają ci, których

nie byli w stanie pokonać towarzysze mojego pradziadka?

Po niebie przemknął klucz dwupłatowców z czasów I wojny światowej.

Wreszcie na ulicę wjechali ułani, a zaraz za nimi toczyło się kilka niemieckich

i radzieckich czołgów, zdobytych wtedy, w 1939 roku. Potem przedefilowali

polscy kombatanci i starcy w zdobycznych mundurach Wehrmachtu z żółto-

błękitnymi naszywkami - weterani ochotniczej legii ukraińskiej... Wreszcie

zaczął się pokaz najnowocześniejszej broni. To interesowało mnie mniej,

czołgi Huzar C-01 i Kmicic A4 widziałem już wcześniej na poligonie.

Poczułem lekki szum w uszach i zawrót głowy - nisko nad defiladą przeleciała

eskadra grawitolotów dalekiego zasięgu typu Halny.

- Chciałeś zobaczyć te nasze taksówki. - Spojrzałem na kumpla.

Ulicą przemknęły cztery ukraińskie samochody terenowe z wyrzutniami na

dachach. Większość widzów w ogóle nie zwróciła na nie uwagi.

- Niepozornie to wygląda - mruknął.

Czekałem cierpliwie, wedle gazety na końcu miał przejechać prom

kosmiczny klasy Polonia. I rzeczywiście. Laweta jechała powolutku, widocznie bali się zniszczyć gąsienicami asfalt. Prom był strasznie wielki, zastanawiałem się, jak wykręca w przewężeniu za gmachem opery. Jakiś facet, ubrany w obszerną aksamitną pelerynę, stanął może dwa metry ode mnie. On też patrzył na pojazd. Coś mi się nie zgadzało. Do takiego stroju powinien mieć brodę przystrzyżoną na wzór szwedzki lub niemiecki, on tymczasem wyglądał niczym Lew Tołstoj. Poza tym taki upał, a on w aksamitnym płaszczu niemal do kostek?

Straszliwe przypuszczenie sparaliżowało mnie na moment. Poczulem w żołądku chłód, jakbym się nałykał kostek lodu. Odwróciłem się w stronę Magdy i jej przyjaciół.

- Uciekajcie - powiedziałem. - Natychmiast.

Nie patrzyłem nawet, czy mnie posłuchali, za chwilę prom znajdzie się naprzeciw nas i czulem, że w tym momencie ten świr szarpnie zawleczkę. Nie zdążę wezwać policji. Na razie ręce miał opuszczone. Nic nie zaciskał w dłoni? Nie. A zatem jest cień szansy... Dwa energiczne kroki, szarpnąłem go z całej siły za pelerynę. Trzasnęło zapięcie. Do tej pory miałem nadzieję, że to tylko moja wyobraźnia. Nadzieja przysła, facet miał na sobie gorset z laskami dynamitu...

- Talib! - wrzasnąłem.

Odwrócił się w moją stronę, wściekły. Był chudy, ale co najmniej dwukrotnie starszy, przerastał mnie o pół głowy. Błogosławiłem wujaszka, że gdy byłem mały, zapisał mnie do szkoły kadetów... Teraz zadziałałem instynktownie.

Złapałem zamachowca za oba nadgarstki i z całej siły huknąłem go czołem w

twarz.

Coś chrupnęło, nie wiedziałem, czy jego szczęką, czy nos, a może moja głowa. Ale cios był skuteczny. Terrorysta runął jak długi. Poprawiłem kopniakiem w skroń i teraz dopiero się rozejrzałem. Wokoło było pusto, idealnie pusto, wszyscy uciekli, tylko część, zgodnie z zaleceniami, padła na ziemię.

O jakieś cztery metry ode mnie znajdowała się wyschnięta fontanna, obok żeliwna kratka nakrywała wylot kanału burzowego.

Złapałem nieprzytomnego za kark. Ktoś chwycił go za nogi. Spojrzałem, jakiś mężczyzna.

- Do kanału go! - warknąłem.

Ktoś trzeci wyszarpnął zabezpieczenie. Terrorysta zaczynał odzyskiwać przytomność. Wepchnęliśmy go do dziury głową w dół. Zsuwał się w rurę, już tylko wierzgające nogi sterczały na powierzchni. Zobaczyłem trzech policjantów biegnących w naszą stronę, ale Piotrek był szybszy. Ściągnął z siebie kolczugę.

- Nakryjmy go tym - rzucił.

- Po co? - zdumiałem się.

- Jego kumple mogą spróbować zdetonować ładunek drogą radiową, a tak zrobimy klatkę Faradaya...

Był blady jak ściana i trząś się jak galareta. Widać było, że się boi, straszliwie boi, a mimo to był w stanie wymyślić takie rozwiązanie! Geniusz, po prostu geniusz. I wpadł na to tak błyskawicznie... Wyrwałem mu kolczugę z rąk. I pchnąłem, żeby padł na ziemię.

- Ja - powiedziałem.

Zawsze lepiej, żeby w razie czego zginął jeden, a nie dwu... Odwróciłem się w stronę kanału. Siatka z metalowych kółeczek uderzyła mnie w twarz. Nic więcej już nie poczułem.

\*\*\*

Smak krwi w ustach, potworny zawrót głowy. Ktoś podtrzymał mnie i zwymiotowałem.

- Ostrożnie, ma chyba wstrząs mózgu. - Usłyszałem.

Otworzyłem oczy.

- Wybuchło? - wycharczałem.

- Wybuchło - powiedział klęczący nade mną policjant. - Ale dzięki tobie nie ma żadnych ofiar. Tylko spory lej w ziemi i trochę zdewastowany system kanalizacji. A ty, spryciarzu, zasłoniłeś się kolczugą...

Znowu zwymiotowałem.

- Leż nieruchomo, pogotowie już jedzie. - Poznałem ten głos. - No, chłopie, setkę ludzi uratowałeś, to pewnie medal dostaniesz. A może i za tego taliba nagrodę weźmiesz. A i my nie zapomnimy...

Piotrek. A więc i on żyje? No tak, nie ma ofiar w ludziach. Magda jest pewnie

gdzieś blisko. Może ją zawoła? Nie, lepiej, żeby nie oglądała mnie w takim stanie. Uśmiechnąłem się. Dobrze mieć szesnaście lat we Lwowie. I żyć...

\*\*\*

Światło latarki w otwartym przemocą oku.

- Aj - jęknąłem.

Zgasło natychmiast. Uchyliłem powieki. Dziwne wnętrze. Samolot? Nie, karetka.

- Zabieramy cię do kliniki neurologicznej. - Człowiek w białym fartuchu pochylił się nade mną. - Solidnie oberwałeś, musimy zrobić tomografię i rezonans mózgu.

- Aha - zgodziłem się.

Cholera, przecież powinienem pilnować naszej rakiety. No nic, w razie czego odpali ją ktoś inny.

- Zawiadomiliśmy już twojego wujka. Dostałeś też pismo z podziękowaniami od burmistrza. Odczytać?

Obraz rozmazał się i ponownie straciłem przytomność. Czy to nie zabawne?

Ja, ukraiński terrorysta, uratowałem życie całej kupy Polaków, zabijając innego ukraińskiego terrorystę...

Szukałem racjonalnego wytłumaczenia swoich działań. Czy postąpiłem tak, bo nienawidziłem tej muzułmańskiej dziczy, oplatającej wszystko swoimi mackami? Czy może dlatego, iż wujek wbił mi do głowy zasadę, że wojna jest po to, żeby ginęli żołnierze, a cywilów należy zostawić w spokoju? A może po prostu byłem zwolennikiem terroryzmu, robionego z jakimś pomysłem, a nie świrem, pożądanym tylko wybitego trotylem przejścia do raju?

Klinika nie przypominała typowego zakładu dla umysłowo chorych. Po prawdzie, nigdy dotąd w żadnym nie byłem... Szliśmy powolutku, choć zawroty głowy już mi właściwie przeszły. Pierwsze badania, jeszcze w karetce pogotowia ratunkowego, wykazały, że nie mam chyba poważniejszych urazów.

Podłogę korytarza wyłożono jasnymi, sosnowymi deskami, zrezygnowano z jarzeniówek, zamiast tego pod sufitem biegł rząd lamp, stylizowanych na okrętowe latarnie. Okrągłe okienka z pancernego szkła, wprawione w drzwi sal, podkreślały podobieństwo do luksusowego statku.

- Przyjemnie tu macie - mruknąłem.

- Wiesz - odezwał się ordynator. - To sanatorium rządowe. Przebywają tu na leczeniu członkowie władz naszego kraju, bohaterowie wojenni, weterani...

Mamy najlepszą aparaturę diagnostyczną. Trafiłeś tu tylko dzięki temu, że zdołałeś powstrzymać tego świra. Uratowałeś życie wielu niewinnych ludzi, a Rzeczpospolita płaci takie długi.

Mijaliśmy właśnie otwarte drzwi. Rzuciłem ciekawie okiem w bok i aż przystanąłem w pół kroku. Lekarz spostrzegł moje zaskoczenie.

Stary mężczyzna siedział na pryczy. Wzrok wbił gdzieś w przestrzeń. Twarz, męska, odrobinę surowa, prawie kwadratowa, pokryta była siatką zmarszczek. Poznałem go natychmiast. Doktor pociągnął mnie za ramię i ruszyliśmy dalej.

- To przecież - wykrztusiłem.

- Generał Janek Michalski. - Potwierdził moje przypuszczenia. - Jeden z

największych żyjących bohaterów Rzeczypospolitej... Jeszcze tydzień temu dowódca okręgu wojskowego Daleka Rubież. I nagle... - westchnął, nie kończąc myśli.

- Ile on ma lat? - zaciekałem się. - Ponad dziewięćdziesiąt?

- Dziewięćdziesiąt siedem. Ale pomijając lekkie zniedołężnienie, naturalne w tym wieku, do tej pory umysł miał jak kryształ. I nagle coś przeskoczyło...

- Jak przeskoczyło?

- Miał otrzymać Order Orła Białego, to było kilka dni po przyznaniu

Niemcom pełnej niepodległości. I wtedy właśnie zwariował. Przesłał na ręce

prezydenta oświadczenie, że w rzeczywistości jest hitlerowskim agentem i

odmówił przyjęcia odznaczenia. Zaraz potem usiłował schronić się w

niemieckiej ambasadzie, co na szczęście w porę udaremniono. I tak trafił

tutaj. Polskie brukowce zrobiły z tego sensację dnia.

- Prawie nie czytam gazet - wyjaśniłem. - Uczyłem się ostatnio intensywnie i umknęło mi...

- Wyparcie prawdziwej osobowości przez pozorną lub rozdwojenie jaźni -

mruknął. - Banalny przypadek. Terapia połączona z zastosowaniem

nowoczesnych psychotropów powinna pomóc. Jeśli nie, no cóż... Będziemy

musieli zatrzymać go tu na resztę życia.

Niewielki pokój, metalowe szpitalne łóżko, drewniana szafka, półka na

książki i lampka. Na podłodze wytarty dywan. Reprodukacja na ścianie. Nie

wyglądało to na pokój szpitalny, już prędzej na hotelowy. Żadnych krat w

oknach, ale domyślałem się, że tej szyby głową nie rozbiję. O takich miejscach

mawia się „dom bez klamek”, a tymczasem, wbrew nazwie, klamkę w



drzwiach miałem... Lekarz jeszcze przez chwilę zapoznawał mnie z regulaminem i programem badań, którym chcieli mnie poddać. Wreszcie poszedł. Umyłem się w przyległej do salki łazience i zaraz położyłem spać...

\*\*\*

Doktor długo obserwował wykresy fal mózgowych.

- Sądzę, że to tylko silny wstrząs - powiedział. - Wykręciłeś się sianem.

- Aha - zgodziłem się.

- Zrobimy jednak komplet badań. A to - potrząsnął wydrukiem - chcę pokazać kilku znajomym specjalistom. Niby wszystko w porządku, ale musimy mieć pewność. Pojutrze cię wypuścimy.

- To znakomicie. - Ucieszyłem się. - Pewnie do tego czasu będę sławny...

- A masz ochotę? - zażartował.

- Szczerze powiedziawszy, raczej nie. Jeśli ten koleś był z Al-Quaidy, to mogą mnie... - Przeciągnąłem palcem po szyi.

- Bardzo rozsądnie.

Wyjął z teczki gazetę i pokazał mi pierwszą stronę. Opisano pokrótce zdarzenie, wspomniano o mojej narodowości, ale zrobiono ze mnie turystę przybyłego z Australii.

- Twoją prawdziwą tożsamość zna nie więcej niż pięć osób. Nie liczę twoich przyjaciół, bo nasz agent odbył z nimi rozmowę uświadamiającą, będą milczeć. Na razie jesteś wolny aż do wieczora, muszą nam dowieźć kilka części zamiennych do synchronofrazatora.

- To co mam robić?

- Mamy tu bibliotekę, salkę kinową, wokoło jest też ładny park. -

Uśmiechnął się. - Możesz pospacerować, ale na wszelki wypadek unikaj gwałtownych ruchów głową.

\*\*\*

Rozległy park otaczający sanatorium tonął w powodzi zieleni. Sierpniowe słońce grzało już coraz słabiej. Gdzieś z daleka wiatr niósł zapach ognisk.

Wariaci, szaleńcy, chorzy umyślowo wędrowali pośród drzew, dreptali poprzez trawniki, kopali kasztany lub przyglądali się wiewiórkom

baraszkującym pomiędzy konarami. Kilku pielęgniarzy ubranych w białe fartuchy roztaczało nad podopiecznymi delikatny nadzór.

Powędrowałem sobie wzdłuż ogrodzenia. Po drugiej stronie musiał znajdować się Cmentarz Stryjski, bowiem wysokie szczyty grobowców, oplecione bluszczem i zwieńczone krzyżami, wystawały ponad koronę muru.

W pewnym momencie przeszedłem obok starej jak świat furtki. Już na pierwszy rzut oka widać było, że kompletnie przerdzewiała, a pierwotny kształt zachowała tylko dzięki wielu warstwom farby. Gdyby jakiś wariat kopnął mocniej... Tylko kto by chciał uciekać na cmentarz? Długa brzozowa aleja kończyła się kamienną ławeczką. Z daleka i pod słońce sylwetka siedzącego na niej człowieka wydawała się prawie czarna. Ale trudno było go nie rozpoznać.

Żwir przyjemnie chrzęścił pod skórzanymi podeszwami butów.

Maszerowałem spokojnym, miarowym krokiem. Pacjent usłyszał mnie z daleka.

- Proszę siadać, doktorze - mruknął.

Najwyraźniej wziął mnie za kogoś innego. Nie odwrócił się, ale przesunął

kawałek, robiąc miejsce obok siebie.

- Dzień dobry, panie generale - powiedziałem.

Odwrócił się, zaskoczony. Na ułamek sekundy zmarszczył brwi, a potem w jego wyblakłych, starczych źrenicach błysnęły iskierki uśmiechu.

- Czekał, spotkaliśmy się na poligonie. Jesteś bratankiem generała Pawluka?

- Mam na imię Bohdan - przypomniałem mu.

- Co tu, u licha, robisz? - zdumiał się.

- Przywieźli mnie na badania. - Streściłem wypadki w czasie parady wojskowej.

- Toś chwat - mruknął.

Usiadłem obok starca. Otaksowałem go wzrokiem. Coś mi się nie zgadzało.

Zmęczona twarz, ogorzała od pustynnych wiatrów. Ach, jasne. Z munduru starannie odpruł wszystkie dystynkcje. Siedzieliśmy tak razem, patrząc przed siebie. Po stawie pływały kaczki, dalej teren się wznosił. Za pniami starych kasztanowców czerwoną cegłą prześwitywał mur otaczający zakład.

- Idzie jesień - spróbowałem nawiązać rozmowę.

- Idzie - westchnął Michalski. - Mówili ci już, że mi odbiło?

- Słyszałem. - Kiwnąłem głową. - Ale proszę się tym nie przejmować. Pańskie zasługi i tak zapewnią panu poczesne miejsce w podręcznikach historii.

Parsknął śmiechem. Rechotał jak świr, bijąc się dłońmi po udach.

- To ci się udało - powiedział. - Chcesz poznać moją wersję? Choć pewnie nie uwierzysz. Nikt nie chce wierzyć, brzmi to wszystko zbyt nieprawdopodobnie.

Ale kto wie - spoważniał. - Może twój wujaszek byłby w stanie mnie stąd wyciągnąć?

- Z przyjemnością posłucham.

- Służyłem Polsce wiernie przez wiele lat. A teraz chcę wrócić do domu. Do Koblencji. Moja kamienica jeszcze stoi. Kto wie, może żyją jeszcze koledzy, z którymi grałem w piłkę... - zamyślił się.

- Koblencja leży w Rzeszy - zauważyłem.

- Widzisz, prawda jest taka, że jestem kimś zupełnie innym, niż się powszechnie uważa. To wszystko: imię, nazwisko, nawet i ten stopień wojskowy to blef.

- Nie rozumiem?

Jak na wariata, mówił spokojnie i konkretnie.

- Jestem oficerem Wehrmachtu w randze waszego kapitana. Chcę zostać uznany za jeńca wojennego i repatriowany do kraju pochodzenia. Chcę anulowania wszystkich stopni i odznaczeń, które otrzymałem w służbie Rzeczypospolitej...

- Jakim cudem jednocześnie mógł pan zostać oficerem Wehrmachtu i ukończyć w Polsce szkołę oficerską? - wysunąłem zastrzeżenie.

- Podchorążówkę w Modlinie, a potem Wyższą Szkołę Wojenną II Rzeczypospolitej - uzupełnił. - Nie kończyłem tamtych szkół - westchnął. -

Naprawdę chcesz usłyszeć tę historię?

- Tak. Ale będę wyłapywał słabe punkty pańskiej wersji.

- Zgoda. - Wzruszył ramionami. - A zatem przejdźmy do początku... Od połowy lat trzydziestych my, Niemcy, szykowaliśmy się do wojny. Sytuacja nie wyglądała najlepiej, kraj był zdemilitaryzowany. Część broni nasi konstruktorzy tworzyli w biurach projektowych Związku Radzieckiego.

- Wiem o tym.

- Tam też szkoliły się przyszłe kadry naszej armii. Potem jednak stosunki uległy gwałtownemu ochłodzeniu. Ale szykowaliśmy się dalej. Rozwijaliśmy przemysł, stawiając fabryki, od razu przewidywaliśmy, że z czasem będą mogły przejąć produkcję zbrojeniową. Potem zaczęliśmy robić to jawnie...

Wreszcie, byliśmy niemal gotowi. Mieliśmy uderzyć najpierw na Francję, a następnie scalić wszystkie odwieczne ziemie niemieckie. Jednak doszliśmy do wniosku, że groźniejsza będzie Polska i ona miała iść na pierwszy ogień. Ribbentrop polecał do Moskwy podpisać pakt ze Stalinem...

- W drodze powrotnej jego samolot miał awarię i rozbił się pod Otwockiem - uzupełniłem. - Minister przeżył, skacząc ze spadochronem, ale zanim polskie służby zabezpieczyły kadłub, do wraku podkraść się chłop z pobliskiej wioski, ukradł pancerną kasetę z tekstem traktatu i tajnymi załącznikami, rozpruł ją w stodole, a że znał trochę rosyjski, skapnął się, co to jest i sprzedał papiery redakcji „Kurier Warszawski”. O tym wie każde dziecko. Ale raczej pomija się fakt, że polski wywiad przewidział, jaki będzie finał tych rozmów i że samolot Ribbentropa został po prostu zestrzelony... - Uśmiechnąłem się. - Sam minister, skazany na dożywocie, zgnił potem w kamieniołomach.

- Wiesz dobrze, co było dalej. 27 sierpnia polski ambasador przybył do Kancelarii Rzeszy i złożył na ręce führera akt wypowiedzenia wojny. Przyjechał limuzyną, ale pozostawił ją na dziedzińcu, tłumacząc się awarią silnika. Opuścił budynek pieszo i złapał taksówkę. Godzinę i dwadzieścia minut później wybuchła podłożona przez niego walizkowa bomba atomowa... Ekspłodowała akurat w chwili, gdy Adolf Hitler otwierał naradę sztabu

generalnego. Polska armia, choć mobilizację przeprowadzono tylko

częściowo, przekroczyła koło południa granicę...

- ...zajmując w pasie przygranicznym ogromne składy broni, amunicji i surowców strategicznych, które Niemcy przygotowali przeciw Polakom - uzupełniłem znowu. - Tysiące czołgów, stojących na lawetach, samoloty na polowych pasach startowych... A wszystko to tylko częściowo obsadzone, bo ich załogi były dopiero w drodze na wyznaczone pozycje. Reszta musiała walczyć bez sztabu, bez wodza, pozbawiona zapasów strategicznych...

Pierwszego września padł Berlin...

- A trzeciego września nad Renem Polacy po raz pierwszy trafili na próbę zorganizowanego oporu. Forpoczty Armii Poznań starły się z korpusem zmechanizowanym generała Guderiana i poniosły dość dotkliwe straty...

Wtedy też do niewoli trafił podpułkownik Janek Michalski. - Generał skrzywił się, jakby zjadł cytrynę.

- Przebywał pan w niewoli kilkanaście dni. Dobrze pamiętam? - zaniepokoiłem się.

Kiwnął energicznie głową.

- Czwartego września Polska wypowiedziała wojnę Francji i Anglii, oskarżając je o niedotrzymanie umów sojuszniczych.

- Żabojady nie chciały umierać za Berlin - mruknąłem. - Za Paryż zresztą też im się nie bardzo chciało. Polska armia prawie nie natrafiła na opór.

- To zmieniło całą sytuację strategiczną, bo Francuzi pozwolili Niemcom wycofać niedobitki Wehrmachtu na swoje terytorium, chronione doskonale linią Maginota... Ale polskie wojska objechały umocnienia z jednej strony

przez Belgię, z drugiej przez Szwajcarię i Guderian został rozbity w chwili, gdy usiłował wyprowadzić niedobitki swojej armii do Włoch - uzupełnił. -

Może by i zdążył, ale Mussolini zaczął rozmowy pokojowe z Polakami i zamknął nam granicę przed nosem.

- I oswobodzono pana z niewoli.

- Wydawało im się, że uwalniają Michalskiego. - W oczach starca błysnął chłód. - Tymczasem on już dawno ziemię gryzł. W rzeczywistości to byłem ja, przebrany w jego mundur...

- I nikt się nie zorientował? - Uśmiechnąłem się pobłaźliwie. - Oficer się odnalazł szczęśliwie, ale z niezrozumiałego powodu mówi wyłącznie po niemiecku...

- Znałem dobrze język polski, w młodości kilkanaście lat spędziłem w Gdańsku - odparował. - Chodziłem do szkoły z Polakami. Zresztą, wielu gdańszczan tak nie do końca wiedziało, jakiej są narodowości.

Milczałem przez chwilę, szukając luk. Już wcześniej słyszałem, że chorzy umysłowo potrafią być bardzo przekonujący...

- A niby po co Guderianowi byłaby potrzebna taka mistyfikacja? Powiesić Michalskiego - rozumiem, zamęczyć z czystej niemieckiej *Schadenfreude*, rozstrzelać. Ale po co pakować swojego agenta do polskiego sztabu generalnego w chwili, gdy wojna jest przegrana i nie ma żadnych szans na zwycięstwo?

- Część wojsk niemieckich i francuskich ewakuowała się przez port w Dunkierce na Wyspy Brytyjskie. Guderian wiedział o tym i liczył, że wcześniej czy później dojdzie do wojny z Wielką Brytanią albo Polska tak się uwikła na

froncie wschodnim, że będzie można uderzyć z Włoch od południa, z północy dokonać desantu, otworzyć drugi front i... Wtedy, jako niemiecka wtyczka w polskim sztabie, mógłbym oddać nieocenione usługi swojej ojczyźnie. -

Wyprężył pierś, a w jego oczach błysnęła duma.

- Tylko Churchill nie był taki głupi, by zadzierać z Polakami. Szczególnie po tym, jak na Londyn spadła ta bomba, która nie wybuchła. Internował wszystkich uchodźców, a potem podjął rozmowy pokojowe, więc w końcu nie doszło do desantu na Wyspy Brytyjskie.

- Tak więc nie mogłem im szkodzić, zwłaszcza że wojna na zachodnim *theatrum* się skończyła, a mnie wysłano na front wschodni. To co miałem robić? Przyznać się i iść do piachu, jak Michalski? Byłem oficerem, trwała wojna, walczyłem z bolszewikami. Może i po stronie Polaków, ale realizowałem plan naszego führera - ostateczne zniszczenie Związku Radzieckiego. Doszedłem do Irkucka, zanim mnie odwołano. Potem były misje w interesach Ligi Morskiej i Kolonialnej, wojna z Japończykami i francuskimi odwetowcami o Wietnam, korpus ekspedycyjny i tłumienie komunistycznej rewolty w Chinach, przewrót socjalistyczny w Etiopii... Jeździłem po całym świecie, gasząc nieustanne pożary. Aż starość dopadła mnie w Palestynie. Tam przynajmniej robota była taka, jaką sobie wymarzyłem: broniłem Palestyńczyków przed pogromami, polowałem na żydowskich terrorystów i pilnowałem, żeby nie zbudowali tam swojego wymarzonego Izraela. Robiłem to, co Hitler kazał, tyle tylko, że w polskim mundurze. A teraz... Cóż, Murzyn zrobił swoje, powinni pozwolić mi odejść. -  
Wpatrzył się apatycznie w przestrzeń.



- Mówi pan całkiem przekonująco. - Uśmiechnąłem się niepewnie. - Ale ta historia jest zupełnie nieprawdopodobna. Przecież to by się z miejsca rypło...

- Niby jak? W kotle nad Renem zginęła większość oficerów sztabowych Armii Poznań, generał Kutrzeba poległ, gdy próbował wyprowadzić oddziały z potrzasku. Resztę wymordowało SS. Nie przeżył nikt, z kim Michalski współpracował. A ja trafiłem na front wschodni, między ludzi, którzy kończyli inne uczelnie, tam nikt nie znał Michalskiego. I poradziłem sobie.

- Hm.

- Nie wierzysz mi - westchnął starzec. - Można sprawdzić. Moja metryka znajduje się w archiwach Koblencji, są zdjęcia ze szkoły, a generał Pawluk może zlecić badanie DNA. W Koblencji żyją moi krewni. Siostrzeniec i jego rodzina. Sprawdziłem.

- No dobra, wyślę maila, poproszę wujka, niech wydeleguje jakiegoś swojego agenta, można wykonać testy i przejrzeć archiwa. Zobaczy pan, że żaden Michalski nie figuruje w ich księgach...

- O żesz kurde! - Staruszek naprawdę się zdenerwował. - Czyś ty, chłopcze, zgłupiał? Jaki Michalski, ile razy mam powtarzać, że do piachu poszedł. Ile razy mam powtarzać, że jestem Niemcem?!

- I jak niby pan się nazywa?

- Kloss. Hans Kloss.

\*\*\*

Spotkałem go ponownie po obiedzie. Stał w zadumie, patrząc na kaczki pływające po stawie. Podeszedłem.

- Ach, to ty - mruknął.

- Słabo znam historię drugiej wojny światowej - powiedziałem. - Ale

zastanawiała mnie zawsze głupota i sztuczność opisywanej w podręcznikach strategii agresywnego przejścia.

- Chodzi ci o doktrynę wojenną z 1939 roku - westchnął. - I co o tym sądzisz?

- Propagandowy kit.

Spojrzał na mnie, uśmiechając się lekko.

- Tak. Masz rację. Przeszkolić armię, ale nie produkować broni, nie

inwestować w rozwijanie technik jej wytwarzania, nie inwestować nawet w

infrastrukturę obronną... Niech zbrojenia odwali za nas przeciwnik, niech

zarżnie gospodarkę, budując tysiące czołgów i samolotów. My siedzimy z

założonymi rękami do ostatniego tygodnia. Uderzymy w przededniu wojny,

przechwytyjąc całe jego wyposażenie i zapasy strategiczne, podciągnięte na

tereny przygraniczne. Nie sądzisz, że to śmiertelnie niebezpieczne? A jeśli

pomylimy się o tydzień?

- Pewne ryzyko w tym jest - zgodziłem się. - I dlatego zawsze wydawało mi

się, że to blef...

Milczał, a potem zapalił papierosa i zaciągnął się.

- Nie pomyślałeś nigdy, że prawda skrywa się jeszcze głębiej? Że wypadki z

września 1939 są bardziej złożone niż ci się wydaje, a tajemnica posiada nie

tylko drugie dno, ale jeszcze trzecie?

- To wiem. Udawali, że nic nie robią, ale zbudowali reaktor atomowy i

wyprodukowali trzy bomby. Ta, którą zrzucili na Londyn, nie wybuchła...

Westchnął i strząsnął popiół.

- Nie było żadnej doktryny agresywnego przejścia - powiedział. - Polska w

żaden sposób nie przygotowała się do wojny. Owszem, odbywały się ćwiczenia, ale w gruncie rzeczy to wszystko była prowizorka. Broni atomowej też nie było...

- To co wybuchło w Berlinie, a potem w Moskwie? - zdumiałem się.

Popatrzył mi prosto w oczy.

- Mogę ci sprzedać jedną informację - powiedział. - Ale cena będzie wysoka.

- Nie mam pieniędzy...

- Nie o to mi chodzi. - Pokręcił głową. - Forsy mam jak lodu... Skończyłem

dziewięćdziesiąt siedem lat. Wedle tego, co mówi lekarz, zostanę tu na

zawsze. - Klepnął dłonią ławkę. - A ja chcę wrócić do domu. Do Koblencji.

- Jak mnie wypuszczą, mam przysłać drabinkę linową w chlebusiu? -

zakupiłem.

- Nie. Masz po mnie wrócić z komandosami. Zdobyć ten kurnik i ewakuować

mnie stąd. Do Niemiec.

- Jakimi komandosami?

- Buryimi - parsknął. - Nie macie na Ukrainie komandosów? Takich koleśków

w mundurach, którzy skaczą na spadochronach?

- A jak mam sprawić, żeby mnie posłuchali? Wujka mam poprosić?

- Tak. Informacja, którą ci podam, wystarczy, żebyś dostał... Jak się nazywa

wasze najwyższe odznaczenie?

- Order świętego Włodzimierza - wyjaśniłem.

- No więc wujaszek przypnie ci to na piersi.

- Kiedy?

- Za tydzień. - Uśmiechnął się pod nosem. - Jeśli się, oczywiście, postarasz.

Zamyśliłem się.

- Co tak dumasz? - rozeźlił się.

- Zastanawiam się nad wagą pańskich słów. I usiłuję odgadnąć, co też to może być. Jest pan jednym z szefów polskiego sztabu generalnego, więc z pewnością miał pan dostęp do różnych ściśle tajnych informacji - ciągnąłem, widząc błysk zainteresowania w jego oku. - Jednak co władzom w Kijowie przyjdzie z tego, że poznają jakiś polski plan strategiczny? Choćby nie wiem, jak tajny. Załóżmy, że Polska planuje uderzyć na Rosję lub na Niemcy. Nie wiem zupełnie po co, ale co to obchodzi sztabowców z Kijowa? Będą musieli wystawić kontyngent, więc sojusznik i tak powiadomi ich z wyprzedzeniem.

Chyba że ma to być operacja przeciw Ukrainie. - Zawahałem się na chwilę. -

Ale wtedy i tak niewiele im to da. Nie spodobały się wam nasze taksówki z wyrzutniami rakiet, ale to przecież nie powód do wojny. Może zbudowaliście jakąś nową broń, ale szczegóły konstrukcyjne są z pewnością na tyle złożone, że ich wyjaśnienie zajęłoby panu całe tygodnie, a ja i tak nie zapamiętam...

Stacjonował pan w Palestynie... A może odnaleźliście Arkę Przymierza?

- Jeszcze nie, aczkolwiek poszukiwania trwają. - Puścił do mnie oko. - Jak myślisz, co przesądziło o wygraniu II wojny światowej właśnie przez Polskę?

Na zachodzie był Wehrmacht, o jedną trzecią liczniejszy niż ich armia i dużo lepiej wyposażony. Na wschodzie Sowieci wystawili kilkadziesiąt dywizji, a czołgów mieli kilkanaście tysięcy.

- Na Ukrainie po dwudziestu latach rządów czerwonych każdy okupant musiał być traktowany jako z dawna wyśniony wyzwoliciel.

- Wojna zaczęła się na zachodnim froncie... Ale faktycznie, są pewne

analogie.

- Wyeliminowanie ośrodków decyzyjnych. - Strzeliłem pomysłem. - Gdyby przeżył Hitler i jego dowódcy, gdyby działało politbiuro... Uderzenia Polaków zawsze wiązały się z likwidacją sztabów. W takim przypadku kraj zachowywał się jak kurczak z uciętą głową.

- Słusznie.

- Metoda eliminacji była bardzo prosta: walizkowe bomby atomowe.

- Nieczęsto bywałem w Warszawie. - Wyjął z paczki nowego papierosa i popatrzył w niebo. - Ale sam rozumiesz, nawyki... Próbowałem coś przewąchać, coś, co mogłoby się kiedyś przydać nam, Niemcom. A gdyby jeszcze udało się podwędzić tę nową broń lub choćby poznać szczegóły konstrukcji. I wiesz, co odkryłem? Popatrzyłem na niego zainteresowany.

- Nic. Zero. W Polsce nie było fizyków specjalizujących się w zagadnieniu rozbicia jądra atomowego. Nikt nie budował laboratoriów, by to badać lub konstruować bomby. Nikt nie sprawdził nawet, czy ta broń będzie działać. Po prostu, nagle pyk i są trzy atomówki. Zostają odpalone i na tym koniec.

- Jak to koniec? - Wzruszyłem ramionami. - Przecież nadal mają tę broń. Szachują nią połowę świata.

- Gówno tam mają. Nie mieli i nie mają. Za to trafiłem na coś ciekawego.

Jeśli mi nie wierzysz, przejrzyj powojenne gazety niemieckie, amerykańskie.

Ktoś mordował fizyków. Planck, Heisenberg, Oppenheimer... Kilkunastu najlepszych zbiera się w Genewie na sympozjum. Zaczynają gadać o budowie międzynarodowej bomby atomowej za pieniądze Ligi Narodów. Mają w ręku niewypał z Londynu, wiedzą już, że atomówka jest zbudowana z uranu

wymieszanego z krzemem, a jako zapalnik służy odrobina radu i mały akumulator. Wszystko roztrzaskało się od uderzenia w ziemię, ale wystarczy poskładać to do kupy. I nagle bach! Wybuch gazu. Einstein cudem przeżył. A pół roku później utopił się w basenie. Pływał na wózku inwalidzkim?

- Obiło mi się o uszy. Pozabijał ich prawdopodobnie polski wywiad. Kilka książek sensacyjnych o tym napisano, tylko, oczywiście, w Polsce są na indeksie...

- Dobra, bystrzaku. Teraz mi powiedz, jak oszacować, ile głowic atomowych mają Polacy.

- Trzy tysiące sześćset. Tyle podają ich źródła. - Przypomniałem sobie zasłyszana wiadomość.

- A ile razy ich użyli?

- No tylko dwa: Berlin i Moskwa.

- Nie przyszło ci do głowy, że stosują je niezwykle oszczędnie? Walczyłem pod różnymi szerokościami geograficznymi. Gdy wyzwaliśmy Wietnam z łap francuskich rewanżystów, trafiliśmy na niezwykle mocne gniazdo oporu, twierdzę Dien Bien Phu. Prowadziłem na nią ataki. Miejsce nie do ugryzienia, traciliśmy tylko ludzi. Żebrałem w sztabie, żeby odżałowali jedną tyciusienką głowicę.

- Może wtedy było ich mniej?

- Propaganda mówiła, że tysiąc. I wtedy zrozumiałem, co jest grane. Ile razy korpusy ekspedycyjne prosiły o atom, tyle razy dostawały... figę z makiem. Jak wspominałem, w Polsce bywałem raczej z rzadka. Ale spróbowałem coś policzyć. Ile może ważyć bomba atomowa?

- Nie wiem. Ale skoro jest to coś, co zamknięte w walizce unicestwia połowę miasta...

- Próbowałem się dowiedzieć. Ta w limuzynie koło kancelarii Rzeszy mogła ważyć, powiedzmy, ćwierć tony. Ale ta, która wybuchła, niszcząc Pałac Zjazdów, została wniesiona na Kreml przez jednego agenta-samobójcę. Ile jesteś w stanie unieść w ręce?

- Bo ja wiem? Może trzydzieści kilo?

- Nie wiemy, ile uranu trzeba do budowy czegoś takiego, to pilnie strzeżona tajemnica. Liga Narodów też nie chwali się, ile ważyło to, co znaleźli w Londynie. Załóżmy, że dwadzieścia kilogramów.

- Zgoda. - Kiwnąłem głową.

- Razy tysiąc?

- Dwadzieścia ton uranu?

- Biorąc pod uwagę zawartość metalu w rudzie, zakładając, że każdy izotop się nadaje, do budowy bomb potrzebowaliby czterystu ton blendy uranowej. A mnie się udało sprawdzić, że wydobywanie rudy uranu w Czechach w latach 1939- 1954 wyniosło zaledwie sto pięćdziesiąt ton. Potem kopalnie zamknięto.

- To znaczy, że zrobili zaledwie trzysta bomb?

- He he. Wygrzebałem w archiwum faktury. Nie były tajne. Tę rudę kupiły różne zakłady chemiczne i laboratoria badawcze. Głównie pozyskiwano z niej rad do celów medycznych. Wszystkie firmy działały legalnie. Do Polski trafiła może jedna trzecia. I została przetworzona na rdzenie do pocisków przeciwpancernych.

- To znaczy...

- A polskie złoża nie były nigdy eksploatowane... I nawet dziś nie mają infrastruktury przemysłowej, która by umożliwiała przeróbkę tak ogromnych ilości rudy.

- Więc jak, u licha...?

Milczał dłuższą chwilę.

- Widziałem mapy - powiedział wreszcie. - Te ściśle tajne, wywiadowcze.

Pozycje wojsk niemieckich w ostatnich dniach sierpnia. I wiesz, co mnie zdumiało? Ich nieprawdopodobna dokładność. Rozumiem, że można posłać samoloty zwiadowcze, ale na mapach były daty. Wojna zaczęła się dwudziestego siódmego, a tymczasem na arkuszach były daty jeszcze z kolejnych trzech dni.

- To znaczy, że...?

- Polski wywiad dysponował danymi o dyslokacji wojsk niemieckich, o pozycjach, których one nie zajęły, bo już nie zdążyły.

- Może jakaś symulacja?

Pokręcił głową.

- Zbyt dokładne, zbyt szczegółowe dane. Może gdyby mieli swojego kreta w sztabie generalnym, ale nawet wtedy to skrajnie mało prawdopodobne.

Oglądałeś kroniki wojenne? Te z września, codziennie puszczone w kinach.

- Oczywiście.

- No to wejdź do Sieci i spróbuj ustalić, jak się nazywał człowiek, który podawał informacje w imieniu polskiego sztabu generalnego. A jutro porozmawiamy znowu.



Wieczorem zrobili mi tomografię.

- Nie wygląda to źle - powiedział lekarz. - Jutro po południu zwołujemy konsylium. I chyba cię wypuścimy...

Poczułem naraz, że wcale nie chcę za szybko opuszczać tych murów.

\*\*\*

Leżałem wygodnie wyciągnięty i oglądałem na komputerze dziennik. We Lwowie po zamachu zastosowano wzmożone środki bezpieczeństwa, w Warszawie znaleziono bombę w studziencie kanalizacyjnej, dwaj pacyfiści dokonali samospalenia, poza tym obchody rocznicy przebiegły bez zakłóceń. Inflacja w Niemczech przekroczyła czterysta procent, Narodowy Bank Polski wstrzymał wszystkie transakcje zawierane w markach. Ministerstwo Dobrobytu zarządziło, by w związku z postępującą deflacją złotych skrócić wymiar czasu pracy z trzydziestu do dwudziestu pięciu godzin tygodniowo, a urlop płatny wydłużyć z sześćdziesięciu pięciu do siedemdziesięciu dni w roku. PPS oprotestowała tę propozycję, uważając, że tak dużo czasu wolnego wpłynie demoralizująco na społeczeństwo. Doniesienia z zagranicy. Terrorysty zaatakowali rakietami polskie szyby naftowe w Kuwejcie i Iraku oraz próbowali w dwu miejscach wysadzić Rurociąg im. Przyjaźni Polsko-Arabskiej. W Paryżu rolnicy manifestowali przeciw rzekomo dumpingowym cenom polskich win i serów, twierdząc, że oscypek niebawem stanie się narodową potrawą Francji, wypierając z rynku miejscowe wyroby... Duńscy socjaliści wysunęli propozycję wykreślenia *Invocatio Dei* z preambuły przygotowywanej konstytucji ESWH. Akcja Katolicka demonstrowała w Warszawie, domagając się, by natychmiast wysłać korpusy ekspedycyjne do

Kopenhagi celem przywrócenia swobód religijnych protestanckiej większości...

Też nie mają innych zmartwień... - pomyślałem zasypiając.

\*\*\*

Rano ściągnąłem sobie komplet, dwadzieścia sześć filmów. Siadłem w salce kinowej i oglądałem je po kolei. Wszystkie stare, czarno-białe kroniki, przygotowano wedle jednego schematu. Na początku hymn Rzeczypospolitej, potem mapa z zaznaczonymi kierunkami natarcia i zajętych pozycjami. I jeden komentator. Najpierw krótkie streszczenie sytuacji militarnej, potem obszerny materiał - filmy z frontu, pokazujące polskich żołnierzy idących do natarcia, efektowne wybuchy, długie kolumny przygnębionych niemieckich żołnierzy, maszerujących do obozów jenieckich... A w tle komentarz, ciągle ten sam głos.

Znajome kadry, puszczone wielokrotnie w telewizji. Uciekający z Gdańska pancernik „Schleswig-Holstein”, podziurawiony jak sito przez polskich pływaczy, utyka ostatecznie na mieliźnie, pechowo, bo akurat w zasięgu artylerii jednostki na Westerplatte. Niemiaszki byli twardzi, bronili się w na wpół zatopionym okręcie całe czternaście dni. Dopiero gdy ostrzał z dowiezionych pospiesznie ciężkich dział wyeliminował im artylerię przeciwlotniczą, a samolot rolniczy po raz trzeci oblał pokład napalmem, wywiesili białą flagę...

Na jednej z kronik był nawet Michalski, młodszy o kilkadziesiąt lat, w poszarpanym mundurze, odbity z niemieckiej niewoli... Pierwszy września, otwarcie frontu wschodniego. Tysiące ukraińskich ochotników na punktach

mobilizacyjnych. Hale fabryczne, szwalnie, kobiety odprawiają niemieckie dystynkcje z mundurów Wehrmachtu. Sojuszników trzeba było w coś ubrać, zdobyte sorty przydały się jak znalazł. Drugi września, zniszczone cerkwie, kołchozowe baraki. To już radziecka część Ukrainy. Tysiące jeńców, byłych żołnierzy Armii Czerwonej, składa przysięgę na wierność Rzeczypospolitej. Nowogród, osiemnasty września. W pierwszym większym rosyjskim mieście, zajęty przez legion rosyjski, następuje koronacja Włodzimierza Kiriłowicza Romanowa na cara Rusi...

Trzasnęły drzwi. Do sali wszedł sędziwy generał. Przywitaliśmy się.

- Oglądaj dalej - polecił, siadając obok.

Ofensywa zimowa, wreszcie wiosna 1940 roku, Irkuck, ostatni poważniejszy punkt oporu komunistów. Polacy zagrozili, że użyją bomby atomowej...

Czerwoni chyłkiem usiłowali uciec z miasta, ale zbuntowana ludność rozkręciła tory kolejowe, a z piwnic i strychów wyszli świetnie uzbrojeni żołnierze barona Aleksego Ungerna von Sternberg i, urządziwszy regularne polowanie, powywieszali komunistów na latarniach. Tylko najważniejsi skończyli wbici na pal. Polscy, ukraińscy i rosyjscy ochotnicy bratają się z ungerowcami. Koniec wojny. Parada zwycięstwa w Kijowie i w Warszawie. W Moskwie urządzić parady się nie się dało, krater powstały w miejscu Kremla dopiero plantowano...

- Powiedz mi, kiedy pojawiły się pierwsze polskie zegarki elektroniczne? - zapytał niespodziewanie Michalski.

- Hm. Myślę, że w połowie lat sześćdziesiątych, razem z upowszechnieniem się komputerów osobistych. - Zamyśliłem się. - Zaraz, firma „Błonie”

obchodziła ostatnio czterdziestolecie istnienia. Czyli 1964?

- Coś koło tego. Oczywiście mówimy tu o produkcji cywilnej. Wojsko takie zabawki miało nieco wcześniej. Ja swój pierwszy dostałem w 1956, jak jechałem z misją ostatniej szansy do USA. To był jeden z prototypów, ale chodziło nam o to, żeby olśnić tych kowbojów przewagą techniczną, więc obwiesili naszą delegację jak choinki. Miałem też prototyp komputera walizkowego. Cholernie baliśmy się, żeby nam tego nie rąbnęli, toteż na wszelki wypadek wmontowaliśmy w komputer bombę oraz mechanizm zegarowy... At, nieważne.

- Czyli koniec lat pięćdziesiątych.

- Właśnie.

- A teraz coś sobie obejrzymy...

Pstryknął pilotem. Stara kronika ruszyła. Hymn, mapa i zagadkowy człowiek, komentujący sytuację. Generał odczekał do odpowiedniego momentu i wcisnął pauzę.

Na ekranie pozostała ręka trzymająca wskaźnik oraz fragment konturówki z zaznaczonym końcem linii Maginota. Biała strzała, obrazująca trzon naszych wojsk, przebijała się przez kilka niemieckich i belgijskich rubieży obronnych, a po wyjściu w przestrzeń operacyjną na ich tyłach rozdzielała się na trzy.

- Popatrz, co ma na ręce.

Spod mankietu wystawała połowa kwadratowej obudowy zegarka.

- Do licha - szepnąłem.

- A teraz zobacz, co będzie, jak spróbujemy powiększyć.

Pstryknął pilotem. Ręka rosła w oczach, jednocześnie jej partia z zegarkiem

coraz bardziej się pikselizowała.

- Ktoś nałożył na oryginalny film łątkę cenzurującą. - Domyśliłem się.

- Tak. Nawet taki detal gady wypatrzyli i zamaskowali.

- Ciekawe.

- Właśnie, ciekawe. Rozumiesz teraz?

Zadumałem się głęboko.

- Wydaje mi się, że tak - powiedziałem wreszcie. - Ale to przecież

niemożliwe.

- Ten człowiek przybył z przyszłości. Wylądował może miesiąc przed

wybuchem II wojny światowej. Miał dwie walizkowe atomówki, komputer

osobisty, zegarek na ręce i zapewne CD-ROM (tak nazywali te stare nośniki w

kształcie krążków) ze skopiowanymi zdjęciami starych niemieckich map

sztabowych.

Prawdopodobnie

także

przenośną

wyrzutnię

rakiet

przeciwlotniczych. Bo wiedział, gdzie i kiedy trzeba zestrzelić samolot z

hitlerowskim ministrem... Przybył, aby zmienić historię. Przybył z innej

przyszłości, takiej, która dla Polski i Polaków musiała być gorsza. Na tyle

gorsza, że zdecydował się zaryzykować i ją zmienić. Potrzebował pretekstu do

rozpoczęcia wojny. Wiedział, co wiezie von Ribbentrop. Dlatego samolot

ministra spadł, a tajny traktat ujrzał światło dzienne. Potem wybuchły

bomby. Przybysz dostarczył też listę fizyków, którzy mogli broń atomową zbudować. Wyłapano ich po całym świecie i wybito bez litości. To zahamowało rozwój atomistyki na całe dziesięciolecie. Niektórych zaniedbań nie nadrobiliśmy do tej pory.

- Hm. A niewypał z Londynu?

Zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko.

- Elemelek - powiedział.

- Co takiego? - Nazwa skojarzyła mi się wyłącznie z jakąś polską dobranocką.

- Tak w wojsku nazywamy urządzenia, które nie działają, ale służą robieniu w konia przeciwnika. Wzięli trochę sztabek uranu, poprzekładali płytkami krzemu, dorobili fikuśny zapalnik z radu, a potem zrzucili na Londyn. Atrapa spadła i roztrzaskała się na kawałki, ale Angole pozbierali je skrzętnie i dalej dumać, co to jest. I co mogli wymyślić? Po tym, jak z Berlina i Moskwy zostały kupy radioaktywnego gruzu, rozwiązanie zagadki nasunęło im się niejako automatycznie. Reszta była jasna i oczywista. Bomba spadła na ziemię i się rozbiła, bo zapalnik zegarowy miał ją odpalić jeszcze w powietrzu.

Czyli zasadniczo trzeba ją tylko poskładać do kupy i skopiować, by wydrzeć Polakom sekrety broni atomowej. Ale nie przewidzieli, że to tylko elemelek. I przez następne sześćdziesiąt lat łamali sobie na tym zęby. Bo że powinno zadziałać, nikt nie miał wątpliwości. Uran mają, problem z zapalnikiem...

- Faktycznie mogło tak być. - Pokiwałem głową. - Ale przewaga Niemiec w broni konwencjonalnej...

- Sprytnie to zamęcili tą podręcznikową doktryną wyczekiwania. W

rzeczywistości polska armia była totalnie zapóźniona. Technicznie o jakąś dekadę, może więcej. Nie byłem do końca wprowadzony w nasze niemieckie analizy, ale nastawialiśmy się na *Blitzkrieg*. Spodziewaliśmy się, że wojna potrwa najwyżej dwa tygodnie. Gdybyśmy trafili na wyjątkowo zażarty opór, dopuszczaliśmy możliwość prowadzenia walk przez dwadzieścia dni.

Tymczasem on dostarczył kompletną listę adresów naszych składów polowych. Wiedzieli, które należy zająć natychmiast, które mogą poczekać.

- Poczekać?

- Magazyn paliwa trzeba zdobyć od razu, szybko i cicho, najlepiej bez jednego wystrzału. Żeby wartownik nie zdążył rzucić granatów między beczki. Czołgi można przechwycić godzinę później, kilku ton żelaza nie podpalisz zapalniczką...

- Fakt.

- Fenomenalnie rozplanowali użycie swoich szczupłych sił. Wiedzieli, gdzie wysłać traktorzystów do obsługi zdobycznych maszyn, a gdzie wystarczą kierowcy ciężarówek. A on... Cóż, musiał być bardzo skromny człowiekiem. To jego jedyna nagroda. - Gestem wskazał ekran. - Komentowanie posunięć polskiej armii dla kroniki filmowej. Zadbał nawet o to, żeby nikt nie poznał nigdy jego nazwiska...

- A może wrócił do siebie?

- Prawdopodobnie nie mógł. Historia uległa zmianie. Ale niewykluczone, że zostawił im walizkowy komputer, schematy masy urządzeń i skoczył do przodu cieszyć się owocami swoich sukcesów... Polacy musieli wszystko robić od zera, od wytwórni śrubek, dlatego zegarki i komputery mieli dopiero

dwadzieścia lat po wojnie. Ale nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, jak wielki był to przełom techniczny?

- Dziadek opowiadał. Telewizor był luksusem, w kancelarii używali maszyn do pisania, a dwa, trzy lata później korzystano z Sieci, patrząc w ciekłokrystaliczny ekran...

- Nowe wynalazki pojawiały się z tygodnia na tydzień. W 1953 roku wystrzelili pierwsze satelity szpiegowskie. W ostatniej chwili. Analiza pozwoliła niemal natychmiast wykryć prototypowe reaktory atomowe w USA, Kanadzie, Brazylii i kilku jeszcze innych krajach. Wszyscy pracowali usilnie nad bronią atomową. Te miejsca zostały zbombardowane i omal nie wybuchła trzecia wojna światowa. Ale Polska miała już rakiety międzykontynentalne. Korpus ekspedycyjny zajął Kubę... To był blef. Rakiety były, ale głowice nie. Jednak Amerykanie o tym nie wiedzieli.

- Czy jest pan pewien, że Polska nie ma broni atomowej?

- Absolutnie.

- Ale dlaczego tak pan sądzi? Przecież po wojnie mogli zbudować. Nawet, jeśli nie zostawił im planów konstrukcji.

- W porządku. Przyjmijmy, że zbudowali. Może nawet trzy tysiące sztuk, tylko jedno głupie pytanie: skoro zbudowali, dlaczego nie sprawdzili, czy działają?

- Co?

Otworzył komputer i uruchomił. A potem przekreślił ekranem w moją stronę.

- To wykresy wykonane przez obserwatorium sejsmologiczne w Katowicach.



Ranek, 27 sierpnia 1939. Widzisz ten gwałtowny skok? To wybucha polska bomba pod kancelarią Rzeszy. Pojedź paskiem przewijania trzy dni do przodu.

- Bardzo podobny wykres, tylko amplituda mniejsza.

- Do Moskwy jest daleko. Fala sejsmiczna uległa częściowemu spłaszczeniu - wyjaśnił. - Kolekcjonowałem takie krzywe przez długie lata. Z różnych stron świata, gdzie tylko stacjonowałem, szedłem do laboratoriów stacji obserwacyjnych i żądałem kopii ich danych.

- Nikt nigdy...?

- Nigdy. Parę razy myślałem, że jednak ktoś to zbudował. Ale za każdym razem okazywało się, że to tylko meteoryt. Wszystkie zebrane informacje zapisane są na tym. - Podał mi kryształ pamięci.

Wziąłem go.

- Pamiętaj, to moja zapłata za akcję komandosów i bilet do Koblencji.

Milczałem przez chwilę.

- Minęło tyle lat - powiedziałem. - Mogli rozbić atom.

- Nie neguję prób. Na pewno nad tym pracują. Ale jak już stworzą bombę, będą musieli sprawdzić, czy działa. A jak do tej pory nie sprawdzili... Mamy dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewności, że ta broń nie istnieje.

- Dlaczego ja?

- Bo mam nieprawdopodobne szczęście, że tu trafiłeś! Bo masz wujka generała. Znam go dobrze. To ambitny typek. Ukraińska część

Rzeczypospolitej ma embargo na produkcję czołgów i transporterów opancerzonych, no to stworzył niezwykłą ofensywną broń na bazie zwykłej

taksówki. Przed poprowadzeniem Ukrainy do niepodległości powstrzymuje go tylko nieistniejąca polska bomba atomowa... Pamiętasz, co ci mówiłem?

Ten mężczyzna - wskazał zatrzymany na ekranie obraz - nie musiał nawet przywozić tych dwu walizek. Wystarczyłyby mapy sztabowe. Wiedza, gdzie uderzyć minimalnymi siłami, by przejąć inicjatywę strategiczną...

- Jeśli to się uda, postawimy panu pomnik ze złota przed wejściem do Ławry... Obawiam się tylko jednego - zauważyłem.

- Tak? - Spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

- Jeśli ma pan rację co do mojego wujka, to, otrzymawszy taką informację, poderwie Ukrainę do powstania i przysłanie tu komandosów, by pana uwolnili, może okazać się niemożliwe albo bardzo trudne. Poza tym, gdy Polacy się zorientują, że znamy prawdę o ich atomie, zaczną węszyć, kto mógł sypnąć. I dojdą szybko do pana, jedyne go oficera sztabu generalnego, który mógł coś odkryć, a siedział u czubków razem z bratankiem generała Pawluka.

- Faktycznie. Będziesz musiał odczekać z przekazaniem danych do chwili, gdy znajdziesz się tam...

Pokręciłem głową.

- Może być już za późno. Z całą pewnością, przez cały czas pobytu tutaj, jest pan dyskretnie obserwowany.

- Owszem.

- Jak pan sądzi: wierzą, że jest pan Hansem Klossem, czy nie? -

Przygwoździłem go pytaniem.

- Mogli już to sprawdzić. W takim przypadku nie muszą w nic wierzyć, mają pewność.

- A zatem proponuję taki plan...

\*\*\*

W południe zebrało się konsylium. Zrobili jeszcze jeden rezonans, kilku siwowłosych neurochirurgów oglądało wykresy.

- Można wypuścić - orzekł wreszcie ten najważniejszy, a pozostali pokiwali uczenie głowami.

Pożegnałem się i z ulgą opuściłem klinikę. Wziąłem taksówkę i pojechałem do miasta. Zameldowałem się w bursie, w sklepie dla modelarzy kupiłem nóż ultradźwiękowy i wsiadłem do tramwaju. O umówionej godzinie zapukałem w blachę furtki.

- Masz klucz? - Michalski był już na miejscu.

Zamiast odpowiedzieć, uruchomiłem nóż. Dobrze odgadłem. Blacha trzymała się tylko dzięki kilku powłokom lakieru. Darła się jak namoczona tektura... Poprawiłem furtkę na ile się dało. Michalski rozglądał się wokoło.

- Co to za miejsce? - zapytał wreszcie.

- Cmentarz Stryjski.

Chwilę później byliśmy na przystanku autobusowym.

- Masz jakiś plan? - zaciekawiał się.

- Czysta prowizorka. - powiedziałem. - Punkt dwunasta odchodzi pociąg

Lux-Torpeda do Kijowa. O czternastej zauważą, że nie ma pana na obiedzie, zaczną szukać...

- Ile czasu trwa podróż?

- Stąd do Kijowa nieco ponad półtorej godziny.

- Nie zdążymy.

- Ale w chwili alarmu będzie pan już za Zbruczem. Tam mają, mimo wszystko, mniejsze możliwości działania. Poza tym zanim się zorientują i zanim wydedukują, którędy może pan uciekać, minie kilkanaście, może kilkadziesiąt minut... A może i kilka godzin.

Wsiedliśmy do autobusu.

- A jeśli nas złapią?

- Pańskie dane są już bezpieczne. Posłałem je przez Sieć wujkowi do Kijowa.

- Teraz już tylko musimy wyrwać się z pułapki - mruknął. - Nie odczytają tego? Bo mogą się zorientować i szybko zacząć polowanie...

- To bardzo dobry szyfr. Nie ma obawy.

- Przynajmniej do czasu, kiedy polskie służby go nie złamią... - westchnął.

- Kapitanie Kloss

- Mów mi Janek. Jakoś przywykłem.

- W tej chwili powinien pan powiedzieć coś w rodzaju: „gdyby Hitler miał takich żołnierzy” - zażartowałem.

Mój towarzysz uśmiechnął się lekko.

- Nasz führer był skończonym idiotą - powiedział.

Piętnaście minut później Michalski siedział wygodnie w lotniczym fotelu wagonu. Kamery dworca z pewnością zapisały jego twarz i wiedziałem, że nie minie dużo czasu, zanim te zasoby zostaną sprawdzone. Ja nie podszedłem nawet do budynku. Musiałem zostać we Lwowie. I tak pewnie będę jednym z głównych podejrzanych... Pociąg sapnął i wystrzelił jak strzała. Prawie sto metrów na sekundę. Minęło kilka minut i skład wyskoczył z podziemnego tunelu na powierzchnię gdzieś za Piaskową Górą... Poszedłem na Stare

Miasto.

\*\*\*

Pociąg przeskoczył most na Zbruczu. Już niedaleko. Generał Michalski był prawie pewien, że się udało. Być może w tej chwili agenci przeszukują park wokół szpitala. Może już wiedzą, że wyparował i ściągają psy tropiące. Może uruchomili programy poszukiwawcze, sprawdzają w Sieci połączenia, badają pamięć komputerów dworca... Każda minuta zwiększa szansę. Każda minuta to sześć kilometrów bliżej celu.

Wizg hamulców poraził uszy. Skład zatrzymał się na przedmieściach Kijowa, może dwa kilometry od dworca. Zaniepokojony staruszek wyjrzał przez okno. Kilkudziesięciu żołnierzy z pistoletami maszynowymi otaczało skład.

- *Donnerwetter* - wyrwało mu się.

Podkute buty zadudniły po chodniku w przejściu między fotelami. Pierwszy z komandosów zatrzymał się koło jego miejsca.

- Panie generale, zapraszamy - powiedział po ukraińsku.

Nie bardzo chciało mu się wierzyć, ale nie miał wyboru. Samochód terenowy zaparkowano przy starej, walącej się budce dróżnika. Ktoś otworzył drzwiczki. Generał Pawluk siedział z tyłu. Na widok gościa uśmiechnął się z ulgą i wcisnął przełącznik walizkowej radiostacji.

- Wybaczcie, że tak niespodziewanie się spotykamy - rzekł. - Na dworcu dzieją się nieciekawe rzeczy. Konkretnie czeka na was komitet powitalny, złożony z kilkudziesięciu polskich komandosów. Ale nie martwcie się, jedziemy w bezpieczne miejsce.

- Przechwycili wiadomość od Bohdana? - Zaniepokoił się przybysz.

- Mało prawdopodobnie. A nawet jeśli, mam nadzieję, że jeszcze nie złamali szyfrów. Konto nie było zarejestrowane, może nie powiążą tego z moim bratankiem.

- Optymista z pana. Czyli uwierzyliście w moje informacje?

- Sprawdziliśmy bardzo dokładnie. Punkt po punkcie. Wyglądają na prawdziwe. Swoją drogą niezły numer, hitlerowski agent zakonspirowany w polskim sztabie, sześćdziesiąt lat po wojnie... Ale nie powiem, przydał nam się pan jak znalazł. W najlepszym momencie.

- Jakie plany?

- Car Włodzimierz jeszcze żyje, ale dziś rano miał kolejny wylew. To już kwestia kilku dni. Rozkazy wydane. Wszystkie polskie jednostki wojskowe zostały lub zostaną za kilka minut dyskretnie otoczone... Musimy zneutralizować ich garnizony. Proszę się nie dziwić. Powstanie przygotowywałem od lat. Tylko nie sądziłem, że tak szybko dostaniemy do ręki tak ważny atut. Myślałem, że będzie ciężka wojna o niepodległość z przeciwnikiem dysponującym najgroźniejszą bronią świata. A tak mamy przeciw sobie armię, którą jesteśmy w stanie pokonać.

- Pół miliona taksówek? - zagadnął Hans.

Zabrzmiało to trochę jak kpina.

- Tyle będziemy mieli najwcześniej za miesiąc. - Zachmurzył się Pawluk. - Wyrzutnie dopiero montują. Ale piętnaście tysięcy ciągnie w tej chwili w stronę granicy. To powinno zrobić wrażenie. - Popatrzył na zegarek. - A potem, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, nasz prezydent odczyta w telewizji deklarację niepodległości...

- Macie już nawet własnego prezydenta?

Pawluk wskazał na galowy mundur wiszący w plastikowym pokrowcu. Kloss zrozumiał. Już mają...

- Dacie radę? Bez lotnictwa i ciężkiego sprzętu? - zaniepokoił się.

- Zobaczymy. - Generał błysnął zębami w drapieżnym uśmiechu. - Zrobiłem, co tylko się dało. Pojazdy bojowe to tylko jeden z wielu pomysłów. Nie wszystko pokazałem na manewrach. Ale jeśli dobrze pójdzie, to nie będzie ofiar. Dzięki wam.

- Jak to? - zdumiał się.

- Mam nadzieję, że nie dojdzie do konfrontacji. Otoczymy ich wojska, ponegociujemy, złożą broń i puścimy ich wolno za Zbrucz. Polacy są dość rozsądni i chyba zależy im, by informacje na temat ich bomb atomowych, a raczej ich braku, nie wyciekły na zewnątrz... Zaszantażujemy ich.

- A jeśli się nie zgodzą?

- Pokażemy, że potrafimy walczyć o wolność. W razie czego sprzedamy tę wiadomość Białorusinom, Litwinom, Czechom, Szwedom, Żydom, Francuzom, Arabom, Amerykanom... Podpalimy Rzeczpospolitą z każdej strony. Wycofamy nasze korpusy ekspedycyjne, sami nie utrzymają inicjatywy strategicznej. Ale wolałbym tego uniknąć. Sojusz z Polską, mimo wszystko, jest nam potrzebny. Zwłaszcza że mamy za plecami Rosję.

- Wygląda na to, że jednak nie wrócę chwilowo do domu. - Zachmurzył się Kloss.

Generał zawahał się.

- Jeśli da pan słowo niemieckiego oficera, że nie piśnie pan...

Hans popatrzył przez okno.

- Podobno Kijów też jest ładny - burknął. - Choć pewnie nie zdążę sobie pozwiedzać zanim Polacy obrócą go w zgliszcza...

\*\*\*

Wylazłem na dach. Za dnia było to ryzykowne jak diabli. Trudno.

Otrzymałem rozkaz i musiałem go wypełnić. Otworzyłem szybik i wsadziłem w szczelinę klucz kodowy. Przekręciłem, zabłyśły diody kontrolek.

Westchnąłem. Wiedziałem już, że niedługo, może za kwadrans, może za kilka godzin lub dni będę musiał to odpalić. Nawet jeśli mi się poszczęści i nie zostanę złapany, to i tak wszystko ulegnie zmianie. Dla Magdy i reszty poznanych we Lwowie rówieśników będę wrogiem...

Ale wiedziałem, że się nie cofnę. Ukraina to moja ojczyzna. A dla ojczyzny trzeba poświęcić swoje plany, przyjaźnie, czasem życie... Tylko czemu to tak boli?

Uruchomiłem komputer, wiedziałem, że po wybuchu Sieć będzie działała jeszcze tylko kilka minut i chciałem choć rzucić okiem na rodzinne miasto.

Odnalazłem jedną z kamer sieciowych pokazujących Kijów. Jeszcze panował spokój. Ale może w tej chwili w naszych jednostkach wojskowych i na posterunkach policji odczytywany jest rozkaz mojego wujka? Może już go odczytano, może właśnie teraz magazynier przekręca klucz w zamku arsenału, ze skrzynek zrywane są plomby, dłonie zaciskają się na kolbach karabinów...? Ludzie na ekranie spokojnie spacerowali, sklepy były otwarte, tramwaj ruszał ze zgrzytem z przystanku. Polski patrol, trzech żołnierzy uzbrojonych w pistolety maszynowe, szedł jak gdyby nigdy nic chodnikiem.



Wróciłem na Rynek. Znów wiadomość w telefonie. Sądziłem, że kolejny rozkaz, ale na szczęście to tylko Magda.

*Hej. Siedzę u nas w traktierni samotna i w melancholii. Może wdepniesz?*

Uśmiechnąłem się lekko i zanurkowałem w bramę kamienicy Korniaktów.

Zbiegłem po schodkach w dół.

Faktycznie, siedziała w tej głębszej piwnicy, a przed nią stały dwa kufle z kwasem chlebowym.

- I jak się czujesz? - zapytała z niepokojem. - Puścili cię, nic ci nie dolega?

- Nie najgorzej - odparłem. - Leciutki wstrząs mózgu. Mam tylko uważać na siebie.

- Nawet ci nie podziękowałam, uratowałeś nam życie. Ale będę chyba miała okazję się odwdzińczyć...

- Drobiazg...

Urwałem i popatrzyłem na nią zaskoczony. Drzwi zatrzęsnęły się za mną z nieprzyjemnym zgrzytem. Ojciec mojej przyjaciółki usiadł za stołem.

Postawił przed sobą trzeci kufel.

- Witaj, terrorysto - powiedział, pokazując odznakę.

Polska dwójka, kontrwywiad. Zerwałem się na równe nogi.

- Siadaj - rozkazał twardo, pokazując mi krzesło.

W drugiej piwnicy rozległy się kroki. A więc droga ucieczki odcięta.

Usiadłem.

- W kieszeni masz telefon, wyjmij go i połóż tak, żeby go widział. Ta piwnica jest i tak nieco przebudowana. Fale radiowe przechodzą przez te

ściany tylko wtedy, kiedy im na to pozwolimy.

Wiedzą o rakiecie? Miejmy nadzieję że nie! Cholera, wiedzą, bez powodu by mnie nie łapali.

- *Meszt* - zakląłem w jidysz.

- Car Włodzimierz miał rano wylew. - Pan Paweł mówił spokojnie i rzeczowo. - Od dwudziestu minut Rosja ma dwu carów. Dwaj kolejni już oprotowali ich deklaracje, żądając zwołania Dumy i głosowania. Od dwudziestu minut niejaki Hans Kloss jest w Kijowie, twój wujaszek go przejął i wyparowali obaj.

- Co jeszcze zdarzyło się w ciągu tych dwudziestu minut? - Spróbowałem zakpić.

- Aleksy Aisin-Gioro Ungern von Sternberg, carski namiestnik, ogłosił niepodległość Chin i Mongolii.

- No to go wdepczą w ziemię - mruknąłem. - Ma pod boki zabajkalski

okręg

wojskowy,

tam

jest

ze

dwadzieścia

dywizji,

rakiety

międzykontynentalne, dwie armie pancerne...

- Zagroził, że spuści im na głowy bombę atomową - powiedział agent. - Dziś,

koło południa, w górach Nemegt na pustyni Gobi Mongolowie dokonali

udanej próby atomowej. I prawdopodobnie mają tego więcej.

Zatkało mnie.

- A wy nie macie - powiedziałem wyzywająco.

- Tia... Odsłuchaliśmy taśmy z nagrań rozmów twoich i Klossa. - Uśmiechnął

się tak, że poczułem, jak kropla lodowatego potu spływa mi po plecach. -

Sprytnie kombinował stary nazista... Naprawdę, teoryjka niczego sobie.

Odgadł, że otrzymaliśmy pomoc. Tylko w jednym się pomylił. Ten człowiek

nie przywiózł bomb. Jedyne wiedzę, jak je zbudować.

- Jak? Bez przemysłu, bez zaplecza, infrastruktury, uranu...

- Tak samo jak to zrobili w Mongolii. Na skróty.

- Przecież nie mogli wyprodukować tej broni w jurcie krytej wojłokiem!

- Zrobili je z radu. Ma bardzo małą masę krytyczną - odezwała się

niespodziewanie Magda. - Fryderyk Joliot, zięć Marii Skłodowskiej-Curie, zaobserwował w 1935 roku procesy wzmożonego rozpadu tego pierwiastka.

To podsunęło mu myśl o możliwości zaistnienia reakcji łańcuchowej.

- I właśnie ten przybysz z przyszłości podsunął nam myśl, jak to wykorzystać

- uzupełnił jej ojciec. - Kupowano surowiec na całym świecie. Oczywiście,

rzekomo do naświetlań. Drogo było jak cholera, ponad milion dolarów za

gram, a dolary były wówczas naprawdę mocną walutą. Wystarczyło na pięć

bomb... Technologia jest prosta jak drut, nie trzeba bawić się w dobieranie

odpowiednich izotopów uranu czy plutonu. Każdy, kto będzie miał dostęp do

radu, zbuduje to w zwykłym garażu. Tylko na szczęście nikt już nie ma

dostępu. Zadbaliśmy o to starannie. Po wojnie pojawiły się nowe metody

walki z nowotworami, nowe urządzenia do naświetlań i rad wyszedł z użycia.

Tylko w krajach bardzo zacofanych, takich jak Mongolia czy Chiny,

onkolodzy jeszcze go używają...

- Czemu mi to mówicie? - Spojrzałem na nich zupełnie dziko.

Może tu taki zwyczaj, że skazańcowi przed rozwałką wyjaśnia się wszystkie okoliczności?

- Bo Aleksy to idiota. Gdy podkładaliśmy nasze atomówki w Berlinie i Moskwie, zaopatrzyliśmy je w pancerze z uranu. Zrzuciliśmy lipną bombę na Londyn, byle tylko zamaskować, z czego tak naprawdę je robimy. I udało się.

Elementek działał przez dziesiątki lat. Pchnęliśmy badania wszystkich światowych laboratoriów na fałszywe tory. A Ungern walnął radową.

Amerykańskie, rosyjskie i brazylijskie satelity zrobiły już z pewnością analizę spektralną miejsca eksplozji. To już nie jest tajemnica. Za kilka tygodni będą mieli własne.

- Co ze mną zrobicie?

- Uratowałeś Magdę, więc darujemy ci życie, szpiegusiu za dychę. Choć domyślamy się, że nieprzypadkowo znalazłeś się we Lwowie akurat w przededniu wojny. Pojedziesz do wujaszka, bo idę o zakład, że macie swoje umówione kanały łączności i dasz mu to. - Wyjął z aktówki teczkę.

Popatrzyłem na okładkę. Skóra, złożony orzeł...

- Oficjalne stanowisko naszego rządu - wyjaśnił. - I list żelazny. Jeśli zechce zrobić powstanie, zrównamy Kijów z ziemią. Jeśli ma ochotę negocjować, niech przyjedzie do Warszawy. Jutro zaczyna się sesja specjalna naszego parlamentu poświęcona sytuacji międzynarodowej. W związku z wojną

domową w Rosji nasi sojusznicy mogą liczyć na pewne gesty dobrej woli...

Zbieraj się, za kwadrans masz pociąg specjalny do Kijowa. Tam czeka samochód, który zawiezie cię, gdzie tylko rozkażesz. I spiesz się, bo jak wasi zaczną strzelać do naszych, na rozmowy może być za późno...

Wstał na znak, że rozmowę uważa za zakończoną. Magda uśmiechnęła się do mnie przeprasząco. Dopiero siedząc w wagonie, odetchnąłem z ulgą. Nie znaleźli rakiety...

\*\*\*

Siedziałem przed kijowską Ławrą. Ochłodziło się. Wpuściłem w ucho słuchawkę radia. Car Georgij zarządził mobilizację i wysłał na Urgę ekspedycję karną. Car Fiodor Nikitycz ją odwołał, zapowiadając przy okazji, że słuchanie rozkazów uzurpatora karane będzie bez litości. Następnie wydali na siebie wzajemnie wyroki śmierci.

Parlament Rzeczypospolitej wysłuchał generała Ihora Pawluka. Trwają prace komisji spraw wewnętrznych. Komentatorzy sejmowi są przekonani, że teraz, po zakończeniu okupacji Rzeszy, propozycje ukraińskie przejdą prawie jednogłośnie. Przygotowywany jest specjalny aneks do Ugody Tarnopolskiej, dający Ukrainie pełną suwerenność, a po pięcioletnim okresie przejściowym niepodległość.

Wiadomości gospodarcze. Prezydent uznał, że z uwagi na napiętą sytuację międzynarodową należy natychmiast znieść akcyzę na paliwo. Wysunął też propozycję obniżenia podatków dochodowych. Obowiązujące obecnie progi podatkowe: trzy, dwa i jeden procent, zastąpi się podatkiem liniowym, wynoszącym siedem promili dochodu. Będzie to wstęp do planowanego na

rok przyszedł całkowitego jego zniesienia...

Zapikala poczta. Wiadomość od Magdy.

*Tata nie jest zachwycony, że zadaję się z ukraińskimi szpiegami, ale może przyjedziesz na ferie zimowe do Lwowa?*

Uśmiechnąłem się pod nosem. Jasne, że przyjadę.

Polski patrol, trzech żołnierze, legitymowali kogoś przy wejściu do świątyni.

Ale czułem, że po raz ostatni widzę taki obrazek na ulicy Kijowa. ***Szcze ne wmerła Ukraina!*** Będziemy wolni. Może już jutro.